

marek trojanowski

# **e t y k a i p o e t y k a**

tom II

internet 2009

## spis treści

Jolanta Stefko, Omnis Moriar	5
Jakub Wojciechowski, Senne porządki	9
Agnieszka Wolny-Hamkało, Spamy miłosne	15
Maciej Woźniak, Iluzjon	21
Elżbieta Lipińska, Pożegnanie z czerwienią	30
Aleksandra Zbierska, Wibrujące ucho	35
Tomasz Pułka, Paralaksa w weekend	39
Monika Mosiewicz, Cosinus salsa	44
Wojciech Bonowicz, Wybór większości	51
Izabela Filipiak, Madame intuita	56
Ewa Furgał, Ekstremizmy	60
Mirka Szychowiak, człap story	64
Ryszard Chłopek, Węgiel	69
Marta Podgórnik, Pięć opakowań	74
Adam Pluszka, Zwroty	79
Wioletta Grzegorzewska, Orinoko	82
Krzysztof Kleszcz, E	88
Bohdan Sławiński, Sztuńce do glist	95
Krzysztof Jaworski, Drżące przyjemności	101
Adam Zdrodowski, Jesień Zuzanny	107
Sławomir Elsner, Antypody	113
Piotr Mierzwa, Gościnne morze	117
Juliusz Gabryel, Laboratoria	122
Krzysztof Ciemnołoński, Przebicia	127
Krystyna Dąbrowska, Biuro podróży	131
Paweł Lekszycki, Wiersze przygodowe i dokumentalne	136

## **Jolanta Stefko, Omnis Moriar**

Księga bardzo dowcipnych dowcipów

### **Dowcip pierwszy**

Przychodzi baba z obłędem w oczach do lekarza, wymachując chaotycznie rękami.

Lekarz pyta: Co pani jest?

Na co ona odpowiada: „*strzepuje z rękawa grudki snów*”

### **Dowcip drugi**

Ta sama baba przychodzi do tego samego doktora kilka dni później.

Lekarz pyta: I jak pomogły te małe czerwone tabletki?

Baba odpowiada: Nie za bardzo.

Dlaczego? – dopytuje się lekarz – Powinna pani spać po nich jak suseł.

Śpię – odpowiada – ale śnią mi się „*Na brzegach snu stare drzewa chore ptaki*”

### **Dowcip trzeci**

Przychodzi baba z czerwonym scyzorykiem, kawałkiem sznurka, deseczką, ogórkiem kiszonym i laską dynamitu do psychiatry.

Lekarz pyta: Co zamierza pani z tym zrobić?

Baba odpowiada: „*zbudować w sobie ruinę*”

### **Dowcip czwarty**

Przychodzi baba do lekarza z wiadrem wody.

Siada i wgapiając się w nie powtarza głośno: Jolka, Jolka, Jolka..

Lekarz przygląda się i po chwili pyta: Co pani robi?

Baba na to: „*Moje imię oddaję wodzie*”.

### **Dowcip piąty**

Przychodzi baba do lekarza z zdechłą wiewiórką w reklamówce.

Lekarz się pyta: Co pani jest?

Baba na to: „*wszyscy wyginą*”

### **Dowcip szósty**

Wchodzi baba do windy a tam „*namalowana mrozem przepaść*”

### **Dowcip siódmy**

Przychodzi baba do lekarza i mówi: „*Ukrywany żal*”

Lekarz na to: Proszę się rozebrać.

### **Dowcip ósmy**

Przychodzi baba do lekarza z palnikiem acetylenowym i mówi:

„*Kiedyś będę czymś innym, popiołem*”

### **Dowcip dziewiąty**

Przychodzi baba do doktora Hannibala Lectera i mówi:

„*Milczenie ścian*”.

### **Dowcip dziesiąty**

Przychodzi baba na okresowe badanie do okulisty.

Po badaniu lekarz mówi: Ma pani sokoli wzrok.

Baba zadowolona odpowiada: „*Patrzę na świat umyтым światłem*”

### **Dowcip jedenasty**

Przychodzi baba do handlarza LSD i mówi:

*„Zgadzam się na świat ale zanurzony w kryształach snu”*

### **Dowcip dwunasty**

Przychodzi baba do dentysty i mówi:

*„Zgadzam się na cierpienie ale takie, które nie będzie upokorzeniem”*

### **Dowcip trzynasty**

Przychodzi baba do szefa misji archeologicznej w Karnaku, który właśnie prowadzi wykopaliska i mówi: Ciszej, *„za ścianą śpią ludzie, obandażowani ciemnością”*

### **Dowcip czternasty**

Przychodzi baba do fryzjera.

Fryzjer się pyta: Ja strzyżemy?

Baba mówi: Na *„Siwy dotyk”*

### **Dowcip piętnasty**

Chodzi baba na czworakach po trawniku miejskim.

Podchodzi do niej znajomy lekarz okulista z dowcipu dziesiątego i pyta:

Co pani robi?

Baba na to: *„Zbieram rozsypane po trawie światło”*

### **Dowcip szesnasty**

Przychodzi baba do lekarza SS, który w Auschwitz robi selekcję.

Lekarz pyta: Jakie jest twoje największe marzenie?

Baba na to: *„Znaleźć sobie spokojną i uciążliwą pracę i na coś wreszcie przydać się”*

### **Dowcip siedemnasty**

Przychodzi baba do Piotra Kupichy i mówi:

*„Miło jest odnieść nad sobą zwycięstwo, zrozumieć jak bardzo nieważne moje życie”*

### **Dowcip osiemnasty**

Podchodzi baba do żuła na dworcu centralnym w Warszawie i pyta:

*„O co i kogo warto prosić?”*

### **Dowcip dziewiętnasty**

Podchodzi baba do ginekologa.

Ściąga gacie, rokracza giry i mówi: *„Pobawmy się w pogrzeb”*

### **Dowcip dwudziesty**

Wybrała się baba w podróż na Saharę.

Po kilku tygodniach marszu znalazła się na jej środku.

Rozglądając się dookoła, powiedziała z niedowierzaniem: *„Jak dużo miejsca”*

Dwadzieścia dowcipów powstało na motywach dzieł zawartych w tomiczku Jolanty Stefko, *Omnis Moriar*. Fragmenty wyróżnione kursywą pochodzą od wieszczki, reszta ode mnie.

Przezabawna to lektura. Jeszcze teraz trzęsie się mi tłuszcz na brzuchu. Kupa, śmiechu. Kupa.

## **Jakub Wojciechowski, Senne porządki**

O jedności poezji i techniki murarskiej

Lektura dzieł stworzonych ręką wieszczki-Polaka dostarcza bogatego materiału empirycznego, na podstawie którego można sformułować ogólną teorię o symbiozie poezji i sztuki wznoszenia ścian działowych. O wzajemnym przenikaniu się ducha poezji i sztuki budownictwa jednorodzinne.

Zagadnienie to może okazać się przełomem w rozumieniu istoty polskiej poezji współczesnej, której plazma wydaje się przenikać do wszystkich dziedzin życia. Okazuje się, że pierwotna masa duchowa - polska siła wieszczki - może wylegać się z dala od zacisza domowych biur, skąpego oświetlenia lampki nocnej czy zadymionej kawiarni literackiej, w której odbywa się kolejny konkursik o dębową deseczkę.

Przypadek Jakuba Wojciechowskiego i jego dzieła **Senne porządki**, oraz majstra, który kieruje brygadą budowlaną, w której pracuję, wskazuje jak bardzo miesza się poezja z ruchem kielni, z rytmem: cegła-zaprawa; cegła-zaprawa..., z uduchowioną, świętą atmosferą fajrantu.

Kiedy mój majster – Pan (koniecznie przez duże pe) Antoni – zaczyna murować ściany nośne, to robi to w ten sam sposób, w jaki Jakub Wojciechowski układa swoje wiersze:

Autor: Pan Antoni K. - Majster

### **Ściana nośna**

*cegła cegła cegła cegła cegła cegła*  
*zaprawa zaprawa zaprawa zaprawa*  
*cegła cegła cegła cegła cegła cegła*  
*zaprawa zaprawa zaprawa zaprawa*  
*cegła cegła cegła cegła cegła cegła*  
*zaprawa zaprawa zaprawa zaprawa*

Nie tylko Pan Antoni pracuje. Pracuje także, choć na innym froncie pan Jakub Wojciechowski – poeta. Tworzy:

### **Woda**

*woda woda woda woda woda*  
*woda woda woda woda woda*  
*woda woda woda woda woda*  
*woda woda woda woda woda*

Pan Antoni oprócz tego, że z niebywałą finezją stawia ściany z cegieł (z bloczków silikatowych, zwłaszcza tych układanych bezfugowo na klej nie buduje, bo jak mów: „poziom mu ucieka”) także się denerwuje. Zdarza mu się przy tym przekląć:

### **Przekleństwo**

*kurwa kurwa kurwa kurwa*  
*kurwa kurwa kurwa kurwa*  
*kurwa kurwa kurwa pizda*  
*chuj kurwa kurwa kurwa syf*

W tym czasie, kiedy Pan Antoni klnie, poeta Wojciechowski tworzy drugą część swojego najślawniejszego utworu:

### **Woda [ciąg dalszy]**

*woda woda woda woda owad*  
*woda owad woda woda woda*  
*woda woda woda woda woda*  
*woda woda woda owad woda*

Oczywiście Pan Antoni, poza obowiązkowym kanonem lektur szkolnych, którymi kiedyś tam torturowano jego duchowość, nie przeczytał żadnej książki. Jedyłą jego lekturą, której się z



uwielbieniem oddaje jest rytualne czytanie „Faktu” w trakcie przerwy śniadaniowej. Przez myśl mu nigdy nie przeszło i pewnie nigdy nie przejdzie, że mógłby porzucić kielnie, poziomice i ciężkie skórzane buty robocze ze wzmocnionymi noskami z blachy. Że mógłby ogolić się, porządnie wykapać i uzupełnić braki w uzębieniu przednim. Że mógłby zamienić swoje dni, znaną i przewidywalną przyszłość mistrza murarskiego, na podróż w nieznane, w której każdy nowy dzień kompletnie wyczerpuje zakres definicyjny wyrażenia „nowy dzień” – innymi słowy: że on, prosty chłopak bez studiów wyższych, mógłby zostać wieszczem narodowym.

A wystarczyłoby doprawdy niewiele. Gdyby tylko wziął przykład z bliźniego swego – tzn. wieszca Wojciechowskiego – i zechciał spisać wczorajszą popijawę, jaką mieliśmy na fajrancie, to Bursza z Biura Literackiego posłałby w dehnelowskim okamgnieniu po Pana Antoniego swego najlepszego akwizytora, który wydawniczym Daewoo Tico w poszukiwaniu kolejnego wieszca pokonuje codziennie min. 800 km, z propozycją nie do odrzucenia. Nie ma wątpliwości, że wydawca, który decyduje się na wydanie takiego tekstu:

*to nie często nam się trafia, autentyczny  
badacz w rozciągniętym swetrze, i chyba  
nawet miał okulary! obowiązkowo musiał  
popierdolić trochę o górach i chmurach, potem  
były szanty, niby z krainy łagodności, a potem  
jeszcze wytarł sobie gębę Stachurą, wódka  
krążyła wokół ogniska ...*

(solina) [układ graficzny: **prostokąt**]

wyda taki oto lingwistyczny prostokącik:

*Piliśmy, a rzadko trafia się czwarta  
flaszka. Posłaliśmy Mietka po litra.  
Mogliśmy to opierdolić na miejscu  
ale chcieliśmy kulturalniej w lesie.  
Rozpalając ognisko rzuciłem parę*

*chujów. Się mi palić nie chciało.*

*Rozpiliśmy to stosunkowo szybko.*

**(Fajrant)** [układ graficzny **oryginalny**]

O ile Pan Antoni świetnie poradziłby sobie ze sławą, z paparazzo, z krzyżowym ogniem pytań w studio telewizyjnym, w którym nagrywano by kolejny odcinek programu PEGAZ, tak trudno byłoby mu udźwignąć duchowe brzemie, które wpisane jest w naturę wieszca polskiego. Poza tym Pan Antoni ma zbyt bogaty bagaż doświadczeń empirycznych, które zahartowały nie tyle jego ducha, ale organizm, czyniąc z niego istotę o wyjątkowej odporności na alkohol. Inaczej rzecz się ma z Wojciechowskim, który odpada po siódmej pięćdziesiątce:

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*no*

*to*

*lu*

*lu*

**(historia pewnego wieczoru)**

Łatwo sobie wyobrazić podobne dzieło Pana Antoniego. Ale równie łatwo sobie wyobrazić koszmar wydawcy, który musi na kolejnych 398 stronach, w szlaczku drukować:

*no*

*to*

*lu*

zanim poeta Pan Antoni, mój majster z budowy, pójdzie w końcu

*lu*

*lu*

I być może dlatego Pan Antoni nigdy nie zostanie poetą i do końca swoich zawodowych dni będzie wznosił kolejne ściany nośne, opierdalał praktykantów za krzywe ścianki działowe, nosił ciężkie robocze buty i jeszcze cięższe ubranie robocze oblepione zaschniętą zaprawą. Bo Pan Antoni – Majster Budowlany Klasy I – w dziele Jakuba Wojciechowskiego pt.

**Pragnienie:**

*pragnie*

*nie*

*pragnie*

*nie*

*pragnie*

*nie*

*pragnie*

*nie*

*pragnie*

*nie*

.....

nigdy nie odnajdzie nie tyle czegoś bardziej wartościowego niż jego solidne ściany nośne, które wznosi z mistrzowską gracją, ale czegoś o jakiegokolwiek wartości w ogóle. W tym przypadku (tzn. w odniesieniu do tomiku *Senne porządki* Jakuba Wojciechowskiego, wydanych przez Biuro Literackie, specjalizujące się w wydawaniu wszystkiego, co się nawinie) impotencja intelektualna Pana Antoniego nie ma żadnego związku z niewinnością jego umysłu, niepokalanego lekturowo. Dzieła Wojciechowskiego mają bowiem unikalną wartość, niezależną od doświadczenia czytelniczego.

Przyznać jednak należy, że Jakub Wojciechowski i mój majster – Pan Antoni, są jeżeli chodzi o formę: mistrzami kątów prostych.

## **Agnieszka Wolny-Hamkało, Spamy miłosne**

Kierowco TIR-a Wolniej-Przyhamuj, mamy promocję

Wszystkie szanujące się, przydrożne prostytutki od 1990 r. zjednoczone są wspólną wizją utopii: światem *Pretty Woman*.

Marząc o platynowych kartach kredytowych i łatwych do zapamiętania pinach: 1 1 1 1; o schłodzonych do 3 ° C flaszki Dom Pérignon, koniecznie z rocznika: 1953 wypijanych w dowolnych ilościach o dowolnej porze dnia i nocy; marząc o bogatym przystojniaku, który owszem będzie im wkładał penisa między uda ale z należnym szacunkiem i nie na pierwszej randce; marząc o miliardzie innych cudownych zdarzeń zapomną o aksjomacie grzechu oraz o złu i jego stopniowości, która to uniemożliwia pozytywne rozstrzygnięcie dylematu:

„kto jest bardziej zły? Czy ten, kto płacąc dostarcza ekonomicznego uzasadnienia istnienia przydrożnej profesji, czy przydrożna prostytutka, która daje dupy za pieniądze?”.

Przydrożne kurwy z tęsknotą spoglądają za oddalającymi się czerwonymi Ferrari. Patrząc w swoje odbicia w lakierach metalicznych, w przyciemnianych szybach, w chromach, w niklach, w sprzączkach pasków widzą wszystko co muszą widzieć. I nic więcej.

Przed rokiem 90. i tą hecą z Julią Roberts i Richardem Gerem, przydrożne kurwy były luksusowymi tirówkami. Rozkładały się na wygodnych kanapach, w przestronnych kabinach ciągników siodłowych. Ale tylko tych, które jechały z Zachodu. Jak ognia unikały polskiej spedycji PKS i polskich kierowców. W zamian za kilka chwil od siebie, oprócz kilku dorców dostawały puszkę pepsa, napoczętą paczkę gum Wrigley's, w której brakowało dwóch listków – poza tym była ok. Ostry smak pieprzowej mięty był smakiem świata zachodniego, smakiem, który neutralizował ziemisty posmak – Spearmint i sperma, były dla tirówek nierozdzielnie związane.

Wszystko się zmienia. W latach dziewięćdziesiątych ani świat, ani one nie wymknęły się z zasięgu działania kwantyfikatora ogólnego. W dziejach ludzkości od czasu do czasu unieważnia się logika i cud się zdarza, to w roku 1990 nie było miejsca na żadną formę

transcendencji. Kuszетки TIR-ów zastąpione zostały przez niewygodne tylne siedzenia pokryte welurową tapicerką aut osobowych, a Wrigley's Spearmint wystąpiła w reklamie telewizyjnej. Rynek się otworzył. Z dnia na dzień pobocza ekspresowych dróg tranzytowych zaludniły się. Etos tirówki, której znakiem rozpoznawczym była czerwona torebka, ukradkowe spojrzenie, żucie gumy i wolny krok w przechadzce po parkingu przeszedł do historii. Konkurencja wymusiła rewolucyjną zmianę promocji usług. Dziewczyny pokazały nogi. Im więcej tych nóg pokazały, tym większa szansa na zdobycie klienta. Ta sama zasada proporcji obowiązywała przy odsłanianiu innych części ciała. Tylko niektóre stare tirówki mogły dotrzymać kroku nowej konkurencji. Zwłaszcza, że wkrótce endemiczny ekosystem polskich prostytutek skażony został przez element obcy - przez młode, kreatywne dziewczyny zza wschodniej granicy, także zdążyły obejrzyć romantyczną opowieść o Vivian i Edwardzie, i także wylały odpowiednią ilość łez na tej scenie, gdy Edward pędził do ukochanej z naręczem róż.

Siedemnaście lat później Transports Internationaux Routiers – ciągnik siodłowy – doczekał się nobilitacji, stając się bogatym znaczeniowo archetypem poetyckim. I nie kto, ale właśnie Polka będzie nobilitowała TIR-y. Mowa o Agnieszce Wolny-Hamkało i jej *Spamach miłosnych*.

Tomiczek Wolny-Hamkało wydany w 2007 w Wydawnictwie a5 to hołd złożony przez kobietę TIR-owi. To dworski ukłon do pasa, by poprzeglądać się w wypolerowanej na lustro szerokiej sprzączce paska spoconego kierowcy. To tęsknota zawarta w przysłówku: „ponownie”, w otwierającym tomiczek tekście:

*Miasto wzruszony polaroid. Tranzyt  
wibruje w ponownym transie. (pon.)*

Agnieszka Wolny-Hamkało, w swoim dziele ku czci ciągnika siodłowego nie ogranicza się do prostej obserwacji empirycznej, którą wzbogaca swoim talentem oralnym. „Tranzyt wibruje w ponownym transie” ale i w tym samym dziele dwa wersy dalej poetka znajduje miejsce dla powiązanego semantycznie z archetypem ciągnika siodłowego archetypu tirówki. Pisze:

*dziewczyny w srebrnych kurtkach*

*parują jak ciepły chleb (pon.)*

Trudno oprzeć się wrażeniu (i tu pozwolę sobie zdefraudować kilka przymiotników oraz formę profesjonalnej, krytyczno-literackiej wypowiedzi) „frywolnej, nienachalnej acz zamierzonej, perwersyjnej wręcz tudzież dziecinnej wypowiedzi zgrywuski, bogatej w udane paradoksy zmuszające do myślenia... itp”.

Owe szlachetne damy w „srebrnych kurtkach” w dalszych tekstach tomiczku, na rozkaz wieszczki Agnieszki będą: „*kucaly w pokrzywach z telefonem w spoconej dłoni*” (**telefon**).

I tutaj Wolny-Hamkało nie precyzując jednoznacznie, czy proces kucania dokonywał się per nudus, czy może okolice tylnie okryte były w sposób należyty, pozostawia szerokie pole dla interpretacji archetypu „pokrzywy”. Także motyw „spoconych dłoni” nie jest w tym kontekście przekonującym argumentem w dyskusji na temat:

*czy pośladki w pokrzywach były okryte czy też nie.*

W *Spamach miłosnych* – jak to w prawdziwej poezji polskiej bywa - z ciągnikami siodłowymi dzieją się prawdziwe cuda. W dziele fantom Agnieszka Wolny-Hamkało, tak opisuje fragment z życia:

*Słońce sunie jak wrotka*  
*trawa tryska światłem (fantom)*

Czyli typowo polska, sielska poetycka normalka znana już przecież z tekstów Jolanty Stefko, która „*zbierała światło rozsypane po trawie*”. I nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie zapowiedziany cud. Otóż, Wolny-Hamkało usypiając czytelnika „*sezonem przeciągów, które idą z sadów*” oraz: „*kawą bez cukru i gruszkami*” nagle wprowadza do korpusu tekstu frazę tak błyskotliwą, że tylko boskie „*idź i nie grzesz więcej*” może się z nią równać. A mianowicie poetka do zakresu semantycznego archetypu tirówki wprowadza nowe znaczenie – motyw eschatologiczny. Tej niebywałej sztuki dokonuje przy użyciu zaledwie trzech słów: dwóch rzeczowników i jednego czasownika. Pisze:

*„Tiry koszą szosę” (fantom)*

Połączenie ciągnika siodłowego i motywu kosy, przenosi czytelnika na te obszary znaczeń kulturowych, w których strach ostateczny wiązał się z wyobrażeniem kostuchy z kosą w prawej ręce. Wszystkie pytania o życie po śmierci musiały uwzględnić kulturowe uwarunkowane antropologicznie wyobrażenie śmierci samej. W archetypie kosy zawarte zostało wszystko, a mianowicie: demokracja zjawiska śmierci. Kosa wprawiona w ruch obejmuje każde źdźbło w jej aktualnym zasięgu. Jej działanie nie zależy od źdźbeł zbóż, ale od prostej, klarownej mechaniki i wprawy tego, kto jej używa. Wszystkie źdźbła kładą się równo, jeden obok drugiego. Nieważne czy grube, czy chude. Czy z jednym liściem, czy z dwoma, czy dojrzałe czy jeszcze młode. Na tym polega demokracja śmierci, która implikuje także wiarę w Ostateczną Sprawiedliwość.

Agnieszka Wolny-Hamkało wykorzystuje archetyp ponurego żniwiarza w sposób twórczy. Kulturowy antropomorfizm redefiniuje, wprowadzając w miejsce kostuchy ciągnik siodłowy. Zabieg ów tylko z pozoru wydaje się być pozbawiony znaczenia. Wystarczy jednak odrobina kulturowo ugruntowanej refleksji, by odkryć w tym zabiegu próbę udanej konfrontacji z archetypem Śmierci a w szczególności: z algorytmem jej działania. Wolny-Hamkało wprowadzając ciągnik siodłowy na miejsce zantropologizowanego wyobrażenia, ostatecznie rozstrzyga kwestie i ucina wszelkie dyskusje na temat obiektywności działania samej śmierci. Historia literatury zna przecież przypadki, w których ludzie zawierali ze śmiercią różnego rodzaju ugody, dzięki którym unikalni działania kosy. Zrewolucjonizowanie archetypu polegające na wykluczeniu pierwiastka ludzkiego i wprowadzeniu bezosobowej, bezmyślnej, maszyny otwiera zupełnie inne obszary dyskusji, w których sens i fenomen śmierci może być na nowo odkrywany.

O tym jak ważny jest ciągnik siodłowy w poezji polskiej poetki współczesnej świadczy także kolejny tekst z omawianego tomiczku. W dziele mięso, Agnieszka Wolny-Hamkało napisze:

*„Garbate tiry rzą w doku szosy” (mięso)*

Odkrycie sensu tego wersu w twórczości Wolny-Hamkało możliwe jest tylko w kontekście autorskiej urbanistyki, którą zaproponowała poetka.

Aby rozpoznać wszelkie konteksty znaczeniowe „garbatego tira”, „doku szosy” oraz dlaczego pierwsze „rzy” w drugim, należy wyobrazić sobie i próbować określić przestrzeń miejską, w



której porusza się poetka. Przestrzeń, która rządzi się osobliwą estetyką skrzywioną przez równie osobliwe słońce, które jest jedynym źródłem światła, które determinuje tu cykle naturalne i metabolizm, rządząc nastrojami odbiorcy.

Krótki opis miasta Agnieszki Wolny-Hamkało:

*„Posągi pasożytują na miejskich fontannach (**travesti**). Rankiem miasto gubi widmowy charakter (**travesti**) Obwodnice śpią przy lasach jak płazy (**pon.**). W środku miasta, nocą – baobab (**sen**) miasto się nie wysypia (**mowa trawa**) Wbiegasz do źródła piszcząc jak gej na bulwarach (**las**) mowa miast: szumne szaszłykarnie (mowa trawa) Całe miasto patrzy (**fonia**). Więcej nie ujrzy miasteczko, które dziwi się mi (**telefon**). Miasto: lekki popłoch (**kino oko**) nie zostawię jej samej w tym mieście (**tanger**)”*

Opis wyjątkowego słońca Agnieszki Wolny-Hamkało:

*„Słońce sunie jak wrotka (**fantom**) niemrawe słońce (**bilans**) Słońce... jak błąd w druku (**notes**) słońca zaogniony odczyn (**travesti**). Słońce jak kluska rozgotowana (**mowa trawa**) słońce ściemnia (**mowa trawa**). Słońce zdecydowane i ciepłe (**anonimowa...**) zaproszone słońce (**zwilż**). Słońce z niesmakiem wyświetla ich twarze (**trio**) słońce wypadło z szybu (**sen w mieście**) efekt słońca na tęgowych pancerzach (**wyjątkowo płodny dzień**)”*

W ramach takiej przestrzeni „rzący, garbaty tir” przestaje dziwić. Przestaje dziwić także „dok szosy”. Ale w omawianym dziele Agnieszki Wolny-Hamkało istnieją jeszcze jedna płaszczyzna, sfera noninterpretatywna – to znaczy taka, która pozostaje poza zasięgiem działania znanych narzędzi i metod badań krytycznoliterackich.

Oto niektóre z noninterpretatywnych modusów:

*„Słoje się kurczą zrzucając z orbity śnięte i ciężkie futerały zwierząt (**fantom**) Lignina puchła w kałużach jak chleb. Za kulkę kitu szybki język w ustach (**bilans**) Szlaban kuca. Pośpiech mruga wzdłuż plaży. Komuś ze snu wypadł włos (**notes**) mięką przezrocza w oknach autobusu (**travesti**). Wrzesień łuszczy lak na zielonych orzechach (**mowa trawa**) Pociągi pospiesznie moczą genitalia (**sen w mieście**)....*

Podsumowanie.

Jedyną możliwą konkluzją opowieści o Spamach miłosnych Agnieszki Wolny-Hamkało może być tylko wymowne: taaaaaaaaaaaaa.

Dlatego, konkludując pozwolę sobie na owo taaaaaaaaaaaaa.

## **Maciej Woźniak, Iluzjon**

Proszę Państwa, to żadna iluzja, to tragedia!

Dialog między wieszczem, jego wena, człowiekiem i przeglądarką google.

W rolach głównych występują:

**wieszcz:** Maciej Woźniak

**wena:** tajemniczy głos w głowie

**człowiek:** Woźniak Maciej

**przeglądarka google:** [www.google.pl](http://www.google.pl)

### **Scena pierwsza i jedyna:**

*Osiedle z płyty. Może Orła Białego w Poznaniu, a może nie, może w innym mieście. Małe mieszkanie z oknami wychodzącymi na miejską obwodnicę. Przy jednym z okien siedzi Maciej Woźniak. Poza tym nic się nie dzieje. Na dworze jest zimno, nie ma gdzie pójść. Nie ma z kim pokopać w piłkę.*

**Człowiek:** Hmmm, co by tu zrobić.

*mija 5 min.*

**Człowiek:** Hmmm, może zrobię sobie coś do jedzenia. Tak to dobry pomysł.

*W polowie drogi do kuchni nagle odzywa się wena:*

**Wena:** chłopie, nie opierdalaj się, nie kombinuj i nie cuduj, tylko siadaj i pisz wiersze!

**Człowiek** (*sam do siebie*): Ale głodny jestem.

*Nie wiedząc dlaczego, rezygnuje z jedzenia. Idzie do swojego pokoju siada przed biurkiem. Wyciąga z szuflady kilka kartek papieru. Rozkłada w równym rzędzie ołówki. Przygotowuje się do pisania. Przerывa mu Wena:*

**Wena:** Ty, pojechało cię? Co ty odpierdalasz? Włączaj komputer, w którym ty wieku żyjesz? Szekspir myślisz, że jesteś? Homer kurwa? Horacy? Wieszczy jesteś, bierz się za goole. Nie będziesz mi się tu guzdrał latami nad udaną metaforą. Jeszcze tego by brakowało.

*Człowiek w milczeniu odpala komputer. Czeką kilka minut (ma starego Windowsa, słaby procesor i trochę to trwa). Czekając na charakterystyczną melodię i napis: „ZAPRASZAMY” stuka nerwowo palcami o blat biurka, jakby się denerwował. Jakby się czegoś bał.*

*Komputer się uruchomił. Człowiek wpisuje adres przeglądarki: [www.google.pl](http://www.google.pl), i znowu przerywa mu Wena:*

**Wena:** nie zapomniałeś o czymś?

**Człowiek** (*sam do siebie*): Byłbym zapomniiał.

*Wstał od komputera. Podszedł do szafy. Stanął przed nią, westchnął głośno trzy razy, następnie wszedł do niej i zamknął za sobą drzwi. Nic się nie dzieje. Mija chwila aż tu nagle jakieś światło przenika przez szpary w drzwiach i przy zawiasach. Drzwi się pomalutku otwierają, światłość przenika całe pomieszczenie. Światło jest dosłownie wszędzie. Nagle z szafy przy dźwiękach piosenki Natalii Kukulskiej: „Światło”, wychodzi człowiek zmieniony w wieszacza. Ubrany jest w czarną kapotę i cylinder – jak to zwykle u wieszacza. Zamyka drzwi i przegląda się w lustrze. W tle słychać refren: „Światło, nosisz je w sobie...sialalala... światło nie zgaśnie choćbyś chciał...sialalalala...”. Nagle wieszacz, gdy to słyszy bierze taboret, staje na nim, rozkłada ramiona i recytuje z tzw. głębi ducha, następujące słowa:*

**Wieszacz:** Światło, Światło, Światło! Po drugiej stronie światła!

*Kolejny raz przerywa mu Wena:*

**Wena:** To było ostatnio, no kurwa, nie odpierdalaj maniany.

*Wieszcz zachnął się. Zszedł ze taboretu i powrócił do biurka. Patrzy w monitor. Mija minut 10, 20 i kolejnych 40 minut minęło a wieszcz jak siedzi tak siedzi. Odzywa się Wena.*

**Wena:** Nad czym tak rozmyślasz kochaniutki?

*Wieszcz nie odpowiada.*

**Wena:** No powiedz coś cię trapi?

*Wieszcz w dalszym ciągu milczy.*

**Wena:** Nie pękaj, nikogo nie ma w domu. Starzy w TESCO na zakupach. Możemy pogadać. Nikt się dziwić nie będzie.

**Wieszcz** (*szeptem*): Na pewno?

**Wena:** Tak.

**Wieszcz:** Mam problem. Nie wiem co napisać. O świetle mi się tak fajnie pisało i znowu bym coś napisał. Ale wiesz, mam pustkę we łbie, czystkę jak po wybuchu głowicy nuklearnej. Żadnej żywej myśli. Nic.

**Wena:** Spokojnie, spokojnie. Od myślenia to ja tu jestem. Poczekaj chwilę.

*Wena milknie. Skupia się. Na jej twarzy widać wielki wysiłek. Jakby podnosiła tonę ołowiu. Po kilku chwilach, spocna, zziąjanym głosem powiedziała:*

**Wena:** Znalazłam! Będziesz kombinował metafory.

*(hyhyhyhy oddycha szybko ze zmęczenia)*

**Wieszcz:** A ty co się tak zmachałaś?

**Wena:** Myślałeś, że wykombinowanie konceptu na tomiczek i wieszczanie, to jest taka prosta sprawa? Trzeba się trochę nadygać. W życiu nic lekko nie przychodzi, nawet tym psychicznym.

**Wieszcz:** Dobra, to dawaj pierwszy pomysł. Natchnij mnie. Ale tak, żeby usłyszał wyraźnie, żeby nie było później, że to nie twoja wina, bo natychtaś mnie inaczej niż ja pisałem.

**Wena:** Gdzieś ci się spieszy?

**Wieszcz:** no, poszedłbym na grila do Jacka.

**Wena:** jakiego Jacka?

**Wieszcz:** Nie znasz go, po co ci to wiedzieć?

**Wena:** A skąd wiesz, że go nie znam. Może właśnie znam?

**Wieszcz:** No nie powiem. Nie ma szans.

**Wena:** Dobra, nie będę się z tobą kłóciła o kotlety. Szykuj karteczki, będziemy pisać. Gotowy?

**Wieszcz:** Dyktuj.

**Wena:** O nie, dzisiaj nie ma dyktuj. Żadnego dyktanda. Dzisiaj będzie dydaktyka. Nauczę cię, wyłożę jak krowie na rowie jak tworzyć natchnione, piękne i równie zajebiste jak piękne metafory.

**Wieszcz:** łaaaał. Dawaj.

*Wena odkaszlnęła. I już chciała rozpocząć naukę metafor, gdy nagle, niespodziewanie odezwał się człowiek:*

**Człowiek:** Sorry, ale muszę się odlać.

*Wieszcz i wena jednym głosem:*

**Wieszcz i Wena:** No to ruchy, ruchy.

*Po załatwieniu potrzeb fizjologicznych wena pyta:*

**Wena:** Już mogę?

**Wieszcz:** Dawaj.

**Wena:** Najważniejszym źródłem inspiracji wieszczowskiej jest okno i to, co można zobaczyć za oknem, to co widać zza szyby. Spróbuj popatrzeć w swoje. No śmiało. Zobacz i powiedz co tam widzisz.

*Wieszcz podszedł do okna. Spojrzał na ruchliwą o tej porze dnia ulicę, po której mknęły auta wszystkich tych, którzy gonili na 8.00 do pracy. Zobaczył kilka drzew i rzekę Wartę.*

**Wieszcz:** Och i ach, ach i och, ach, ach

**Wena:** Nie ochaj mi tu synuś, tylko mów, co widzisz

**Wieszcz:** Widzę piękno. Polskie, prasłowiańskie piękno i siłę zaklętą w Warcie i w dębach...

**Wena:** To lipy

**Wieszcz:** Ciii, nie przerywaj. Nie widzisz, że mam wenę. Tak, widzę siłę techniki poskromioną przez człowieka, taaaaa. Autostradę miejską widzę i auto także. O, a tu przycupnął na parapecie gołąbek. Taś, taś, taś mój ty gołąbku. Nieś pokój całemu światu. Fruń, fru, fru!

**Wena:** Dobra, dobra. Miałeś mnie. Hehehe. Widać, że masz talent i że cię wena nie opuszcza. Ale to trzeba jeszcze doszlifować. Od początku. Przyjmijmy, że za oknem pierwsze co zobaczyłeś, to świt.

**Wieszcz:** O tak, tak. Ujrzałem cały świat. Jak w soczewce przeszlifowanej w dennym mule, w którym taplało się stado węgorzy.

**Wena:** Hola, hola, nie rozpędzaj się. Nie świat, ale świt.

**Wieszcz:** Niech ci będzie, że świt. Ale co dalej?

**Wena:** Jak to co? Jeszcze kilka dopełnień i masz już świetny materiał na metaforę. Pokombinuj.

*Wieszcz zadumał się. Przyjąwszy pozycję rodinowskiego myśliciela wiercił się niecierpliwie na taborecie i chrząkał. Nic mu nie przychodziło do głowy. Kłopotliwe milczenie przerwała wena:*

**Wena:** Co ty byś zrobił beze mnie. Notuj: „sinym, odmrożonym świtem” [Proboszczewice]

**Wieszcz:** Fajoskie! Łał!

**Wena:** Nie podlizuj się. Wiem, że jestem zajebista. Chcesz inną metaforę? Pokazać ci?

**Wieszcz:** No.

**Wena:** To uważaj. Uwaga: „*Błyszczące śniegiem uniwersum*”. Ale to jeszcze nic. Patrz na to: „*Pobocza wydeptanych wersów*” [Proboszczewice]

**Wieszcz** (głosem pełnym zachwyty): Ty to jesteś dobra. Nie ma co.

**Wena:** Ma się talenta. A teraz ty pokombinuj. Widziałeś jak ja to robiłam. Z jaka naturalną łatwością przychodzi mi wymyślanie super metafor. Dam ci teraz małe zadanko. Dam ci dwa rzeczowniki, jeden czasownik i żeby obniżyć stopień trudności dorzucę tobie jeden przymiotnik.

*Wieszcz chwycił za ołówek i powiedział:*



Wieszcz: Jestem gotowy. Wal.

**Wena:** Podaje wyrazy: rzeka, mrok, leżeć, nieruchomo.

*Wieszcz znowu się zamyślił. Nad jego głową w komiksowym obłoczku pojawiają się kolejno wersje:*

- 1) nieruchomo leży mrok na rzece
- 2) rzeka na mroku leży nieruchomo
- 3) nieruchomo rzeka leży mrocząc
- 4) mrok nieruchomo leży rzeczając
- 5) Pusty, biały obłoczek komiksowy.

*Kiedy pojawia się obłoczek nr 5 wieszczowi zaczyna trząść się podbródek. Za chwilę zaczyna szlochać a piętnaście sekund później wpada w histerię. Woła:*

**Wieszcz:** Ja chcę do mamy! Mamusiu!

*Nad płaczącym wieszczem stanęła wena. Kiwając z politowaniem głową powiedziała sama do siebie:*

**Wena:** Na ziemi jest kilka miliardów ludzi, a ty musiałeś się właśnie mi trafić? Jak pech to pech.

*Następnie przyjęła obowiązkową pozycję techniki kung-fu zwanej techniką żurawia, przytknęła dłonie do skroni i przejęła władanie nad prawą ręką wieszcz. W trakcie gdy ten ryczał, wena pisała za niego na karteczce kolejne zajebiste metaforki. Następująco:*

*Rzeka mroku leży nieruchomo (Luty, spacer na Kępę)*

*Bezsenne szeptanie, które przebiega pod skórą łapkami jaszczurek (Łyżka)*

*Krew, chrobocząca o ścianę aluminiową łyżką*

*Ścieżka dymu łamie się nad stołem (Kopenhaga, wiosna 1843)*

*Na sznurkach schną białe balustrady* (**Wiersz przed wielkanocą**)

*monety z oka wolałby błyszczyć, wirując w studni życzeń* (**Azyl**)

*zrogowaciała smocza łuska Wisły odkształca się w trzech miejscach, jakby gdzieś pod nią  
pracowały ścięgna* (**Maj, główki w Wykowie**)

*krew dachówek* (**Most w Arles**)

*siwe kosmyki mgły* (**transmisja II**)

*słyszac nawoływania z krwi, która nie chce krzepnąć* (**Lipiec, nie śpię**)

*czyżby szeleścił apeiron, ten dryfujący krył*

*noc, to otwarty właz, przez który paruje całe wcześniej*

*rośnie ściana akwarium* (**fuga**)

*w rzęsie i zdrętwiałym półśnie woda nie chce płynąć* (**Sierpień, ujście Siupianki**)

*cichutko, uparcie tykając metaliczna i smukła krew obiega ciało* (**kurant**)

*mechanizm karmiony dygotem kryształków*

*słony zgrzyt* (**Hologram**)

*zatęchłe echo*

*Skończywszy na „zatęchłym echu” Wena sobie na jakiś czas – bliżej nieokreślony – poszła w  
tzw. pizdu, by odpocząć, przynajmniej do następnego tomika.*

*Wieszcz płakałby dalej, ale usłyszał charakterystyczne: ding-dong – to nie był jeden z  
tybetańskich dzwonów modlitewnych, ale dzwonek do drzwi. To wrócili rodzice z zakupów z  
TESCO. Mieli kupić kurczaka na obiad. Szybko się przebrał w cywilne ubranie, chowając  
pelerynę i cylinder na swoje miejsce. Otwierając drzwi rodzicom zapytał:*

**Człowiek:** Mamusiu, a kupiłaś mi Haribo? Zobacz jakie ładne wierszyki dzisiaj wymyśliłem.

*I pokazał karteczkę, którą zostawiła po sobie wena, zanim sobie przysła.*

**Didaskalia:**

Wszyscy, którzy się dziwią, że przeglądarka „www.google.pl” jednak sobie nie pogadała w tym dialogu, niech wiedzą, że ja też czuję przez to niedosyt. Ale pisząc to, całkowicie o niej zapomniałem i nie wymyśliłem kwestii dla goole.pl

Tekst powstał na kanwie tomika *Iluzjon*, Macieja Woźniaka. Z owego dzieła, co łatwo się domyśleć, pochodzą supermetafory, czyli jakaś 1/8 kwestii Weny i 7/8 kwestii poety.

## Elżbieta Lipińska, Pożegnanie z czerwienią

Kici, kici przymiotniczki, taś, taś

Matka miała syna. Kochała go.

Pewnego dnia syn się ożenił, ale kobieta, którą sobie wybrał za żonę nie chciała się jego miłością z nikim dzielić. Dlatego któregoś razu rozkazała mu zabić staruszkę. Poszedł on do matki, zabił ją i wyciął jej serce jako dowód dla żony, że tylko ją kocha. Wracając z powrotem do domu potknął się i upadł. A serce, które niósł wypadło mu z dłoni, potoczyło się po bruki i zapytało: Synku, nic ci się nie stało?

Oto historia bezprzymiotnikowa, historia, którą mogłyby opowiadać kobiety swoim synom. Ale kobiety, w szczególności: polskojęzyczne gospodynie domowe, które zaczynają dzień od paczki waletów i kawy, po której łatwo robią kupę i z równą łatwością piszą przynajmniej jeden wiersz, który następnie publikują gdzieś w internecie lub też nękają sekretarzy redakcji pism literackich nie wierzą prostym, bezprzymiotnikowym przekazom.

Kobiety mają tak skonstruowane mózgi, że nie potrafią obejść się bez przymiotników. Kiedy chłopaki ganiają się z plastikowymi karabinami i naśladują serie z pepeszy wrzeszcząc: e e e e e e e e e, dziewczynki ćwiczą się w swych przyszłych funkcjach społecznych. Prowadzają dostojnie wózki, w których wożą lalki. Lalki te czeszą, pieszczą, myją, karmią i przebierają. Na tym etapie rozwoju wszystko jest jakby w porządku. Ale w pewnym momencie z dziewczynkami zaczyna się dziać coś niezwykłego. Otóż odkładają one wózki i lale. Zapominają o tych gadżetach na dłuższy okres czasu. O wózkach i dzieciakach przypominają sobie w okolicach trzeciego roku studiów, kiedy to o wewnętrzne strony ich cienkich ścianek twarzoczaszki zacznie obijać się wielki dzwon zwany instynktem macierzyńskim. Ale zanim do tego dojdzie dziewczynki rozkochają się. Przedmiotem ich westchnień jednak nie będą chłopcy z Backstreet Boys, Tokyo Hotel. Nie będzie to nawet lider zespołu Feel. Pierwszą ofiarą kobiecej miłości padają przymiotniki. Życie kobiece zacznie się koncentrować wokół konkretnych kategorii:

- gruba (w szczególności: „jestem za gruba”)
- chuda (w szczególności: „ale ona chuda”)

- ładna, piękna, cudowna
  - brzydka, paskudna, ohydna
- itp.

Oto przykład. Jedna z dziewczyn na blogu ze strony **bravo.pl** pisze:

*„moja mama wpędza mnie w kompleksy....np siedzimy a ona mówi mi że jestem gruba... :/...a tymczasem mam niedowagę.. :/..i gruba nie jestem:/ ...albo mi mówi ze mam krzywy nos...niedawno siedziałam z nią na kanapie a moja mama ” o jej...ty masz bardzo krzywy nos” ...nie mówi mi że jestem brzydka wprost ..tylko jakby chciała no nie wiem..w kompleksy mnie wpędzić..”/...ej no sorry...ja sama nie wiem jaka jestem..ale powodzenie mam więc chyba jakaś straszna nie jestem :/..no wiecie modelką też nie...ale to troche wygląda jakby chciała sie dowartościować wpędzając mnie w kompleksy...://dziwne troche..” (autor: **ponczoszanka**)*

Mamy tutaj charakterystyczne przymiotniki wieku dojrzewania:

- gruba

(warto zwrócić uwagę na koniunkcję: „mam niedowagę i gruba nie jestem”.)

- krzywy
- brzydka
- straszna
- dziwne

Przed 15 rokiem życia umysł kobiety nie potrafi wyjść poza tych kilka – przywołanych przez ponczosznkę – przymiotników. Właściwie jak nigdy później, każda kobieta przed piętnastym rokiem życia jest w stanie dokonać rzeczy unikalnej – a mianowicie, potrafi opisać świat zewnętrzny, życie społeczne i sferę kultury za pomocą pięciu przymiotników: gruby, krzywy, brzydki, dziwne.

W miarę upływu czasu kobiety będą starały się ukrywać rodzajową skłonność do przymiotników. Jako kobiety zasiadające w zarządach spółek, jako współczesne businesswoman będą unikały – przynajmniej w życiu zawodowym - przymiotników jak ognia, gdyż przymiotnik ma tę oto przypadłość, że zdradza uczucia. A nie ma nic gorszego w

biznesie niż okazywanie emocji. Negocjatorzy umów inwestują dziesiątki tysięcy na botulinę wstrzykiwaną w twarz, w skórę dłoni, by się nie pocić, by nie okazywać oznak zdenerwowania – czyli nie dać przeciwnikowi szans na behawioralną lustrację właściwych intencji.

Kiedy zrzucą korporacyjne kostiumiki, kiedy zmyją z siebie zapach toneru do kserokopiarki, przy której spędziły większą część dnia, businesswoman na powrót staje się królową w świecie przymiotników. Oczywiście ich zbiór ewoluował. Oprócz:

- gruba
- chuda
- ładna, piękna, cudowna
- brzydka, paskudna, ohydna

pojawiają się nowe:

- odprężająca (w sensie: „kąpiel odprężająca”)
- relaksująca (jak wyżej)
- czule (w sensie: „kochaj / pieść / całuj mnie”)
- delikatnie (jak wyżej plus „wsadź go”)

Żadna orgia seksualna przeplatana wykrzyczanymi: „mocniej, głębiej, mocniej, mocniej,” nie może się równać z ciążą. W tym unikalnym stanie fizycznym ujawnia się równie unikalna słabość do przymiotników. O ile zapładnianie kobiet nie jest rzeczą trudną, tak życie z zapłodnionymi kobietami wymaga anielskiej cierpliwości. Ciężarne przy pomocy dwóch antytetycznych przymiotników potrafią zmienić w proszek radość z trafienia szóstki w totka, nie wspominając o prozaicznej satysfakcji z udanego dnia. Taki oto przykład:

**Ciężarna:** Stasiu, przynieś mi wody

**Stasiu:** Już kochanie. Proszę.

**Ciężarna:** Za zimna Stasiu.

**Stasiu:** Przepraszam. A teraz może być?

**Cieżarna:** Stasiu, za gorąca.

**Stasiu:** Doleję zimnej. I jak?

**Cieżarna:** Nie czujesz, że za zimna? Zimniejsza niż na początku.

**Stasiu:** No to daj, trochę doleję.

**Cieżarna:** Ohyda, tego pić nie można. Poparzyłam się. Ale z ciebie nieudacznik. Mogłam posłuchać mamusi Ostrzegąła, że z ciebie nic nie będzie

Istnieje tylko jedna dziedzina życia, która może być porównywalna do dziewięciomiesięcznej przymiotnikowej gehenny – jest nią poezja. Kiedy kobieta zaczyna pisać wiersze wszystko się może zdarzyć. Może rozstać się jakieś morze, może zatrząść się zmienia, może przemówić stwórca, w ostateczności kobieta pisząca wiersze może dostać Nobla (o ile ma przystojnego sekretarza, który dzielnie ją inspiruje i podtrzymuje na tzw. duchu.). Największe kataklizmy zdarzają się jednak wówczas, kiedy kobiece pasje przymiotnikowe kanalizowane w wierszykach zostaną wydane w formie tomiku. Wówczas mamy do czynienia ze wymierną stratą kulturową, ze szkodą na duchu ponadgatunkowym i co najważniejsze: z niepowetowaną stratą papieru. Przykładem takiego kataklizmu jest tomiczek Elżbiety Lipińskiej, *Pożegnanie z czerwienią*. Na jeden tysiąc przymiotników przypada w nim średnio pięć rzeczowników i kilka czasowników. Oto próbka:

*siwy mróz jak rozczochrana broda  
zimne światło z trudem przebija noc  
zmarznięte dłonie chowam głęboko  
w pamięć twojego ciepła*

*zaciskam mocno powieki  
bezczelnie wpycha się blady świt  
w sam środek snu  
gdzie pomarańczowe ciepło kamasutry*

*owija mnie szczelnie jak sari  
które odplątywałeś tak cierpliwie  
jak niecierpliwie mnie potem kochałeś*

**[przebudzenie]**

Po takiej dawce przymiotników, które z gracją serwuje Lipińska, a której żaden Stasiu nigdy by nie wytrzymał, można tylko złożyć hołd ciężarnej kobiecie i podziękować bogu za penisa.



## Aleksandra Zbierska, *Wibrujące ucho*

brrrrr, brrrrr, brrrrr

Aleksandra Zbierska. Wiekowo – używając kategorii porno - plasująca się pomiędzy mature a granny. Wydała tomiczek.

Blondyna, z klawiaturą wylicowanych zębów, biel C1 - czyli tzw. “biel cersanitowska”. Łapka figlarnie tudzież zapraszająco wygięta w stylu “rodinowskim”, że niby podpira główkę ciężką od kotłoczających się w niej myśli. Ale z łapką jednak coś jest nie tak, coś jakby odrobinę za duża, jakby źle wykadrowana, jakby to była łapka kulomiotki z NRD, w szczytowej formie tuż przed olimpiadą w Moskwie, a nie autorki *Wibrującego ucha*

Grzyweczka ścięta pod lekkim skosem. Niesymetryczna. Dzień wcześniej potraktowana 30% roztworem podchlorynu i 60% roztworem nadtlenu wodoru tuż nad umywalką w mieszkaniu Aleksandry Zbierskiej. Lekki balejaż, tak na wszelki wypadek, żeby złamać idealną żółć chemicznej bieli. Tylko tyle mógł zrobić fryzjer w tej sytuacji.

Oczy: soczewki kontaktowe, kolorowe - odcień błękit laguny. Nad oczami brwi starannie wydepilowane w półkoła rowerowe. Żadnego kąta, ani jednego śladu charakteru. Ale takie się podobają.

Usta: pomadka / czerwień strażacka /. Takiej samej używała Madonna w *Kim jest ta dziewczyna*. Oblicze Aleksandry: żadnej zmarszczki, zmarszczeczki, zmarszczuni.

Perfekcyjna gładź gipsowa. To też ma po Madonnie.

Szyjka, ramiączko i jedno strzemiączko. Czarniutkie, wążiutkie jak paseczek w stringach, biegnący między pośladkami. W związku z tym, że to jednak zdjęcie twarzy, to kilka słów powiedzieć należy o tym jak to promienie światła załamują się na kości policzkowej. Wydatnej jak u Arnolda Schwarzeneggera, gdy zdarł sobie skórę z głowy w *Terminatorze* jedyńce. Takiej kości Madonna nie miała w żadnym klipie.

Po wytarciu matrycy z białawej, ciągnącej się cieczy o ziemistym posmaku, ujrzałem wersy piękne, o semantyce tak ostrej jak konturówka, której używa Aleksandra Zbierska:

*Tak, miał coś na swoją obronę - nie chciał  
zrobić jej krzywdy, ale odróżniał myśli od żądz.*

**(Horse sense)**

To pewnie o tym wersie krytyk Ryszard Chłopek napisał : „*wibrujące ucho, ucho rozedrgane, wpadające w rezonans*”. A może ów krytyk multiplikował synonimy słowa „wibrujące” po to, by zdać krytyczną relację z lektury tego głębokiego i bogatego w dna znaczeniowe fragmentu:

*Dzieciak błaga o darowanie mu życia.  
Trzyma się lodu, a jego dusza jest już  
kulką - toczy się, coraz dalej i dalej*

**(Gangbang)**

A może zwyczajnie krytyk Ryszard o nazwisku Chłopek spojrział krytycznym okiem na fotografię poetki Aleksandry Zbierskiej, a następnie wszystkie wrażenia jakie powstały w związku z tlenioną grzywą i czerwienią strażacką ust skonfrontował z tytułem wiersza: *Gangbang* i oraz **Horse Sense** i nie potrafił opanować drżenia to prawej, to lewej ręki. Nie potrafił oddalić myśli o logicznym synonimie pojęcia „wibrować” – o lateksowym wibratorze w rozmiarze L. I tylko doświadczenie, багаż socjalizacji i wyborny warsztat krytyka literackiego, które zdobył Ryszard Chłopek uchroniły go o wprowadzeniu fallicznego archetypu do swojej interpretacji nowego dzieła Aleksandry Zbierskiej.

A od poetki Zbierskiej należałoby wymagać szczególnej formy wibracji, totalnej epilepsji ucha środkowego, przenoszonej nerwem wprost do mózgu. Poetka wbrew opinii Chłopka o imieniu Ryszard stara się napisać coś ważnego, coś istotnego. Aleksandra stara się przekazać swemu odbiorcy tajemnicę porównywalną do biblijnego sekretu stworzenia według liczby, miary i wagi. Zbierska pisze:

*Lubię różowe mydełka, balsamy do ciała  
i kulki z płynem do kąpieli*

**(Matka nigdy się nie uśmiecha - modli się )**

I tylko najtęższe umysły rabinów, od niemowlęstwa szkolone w technikach kabały są w stanie odkryć w wersach poetki misterium znaczenia zapowiedziane przez krytyka literackiego Ryszarda Ch., w metaforze: „*to tak jakby swoje ucho odłączyć od siebie i odejść*”.

Bo cóż innego pozostaje czytelnikowi, jak odciąć sobie uszy, zakopać je kilometr pod ziemią i odejść.

Aleksandra Zbierska jest poetką świadomą swego unikalnego talentu oraz daru mądrości, który przypadł jej w – nie bój się tego powiedzieć wprost – niesprawiedliwym udziale.

Pod rzadką grzyweczką blondwłosów przetykanych pojedynczymi kosmykami w brązie, kryje się enneract, hipersześcian, którego każdy z n-wymiarów zawiera w sobie potencjał poprzednika i następnika. Bo wiersze Zbierskiej dowolnie czytane i odczytywane nie są ani groteską ani absolutem, ale jednym i drugim w tym samym czasie i tej samej przestrzeni.

Oto przykład. Oto jeden wers. Chciałoby się rzec wersik, wyretuszowny w Photoshopie źle wydepilowany wąsik, ale jednak nie – bo to wers, który Heraklit wcieliłby żywcem do swoich ocalałych fragmentów – gdyby żył oczywiście. Oto słowa prorocze, słowa o umieraniu, o to drwina ze śmierci. Oto słowa poetki Aleksandry Zbierskiej:

*Śmierć przez utopienie lekka nie jest*

**(Ewolucyjna tęsknota pingwina)**

Czy można chcieć czegoś więcej od opisu śmierci, oprócz tego by:

Po pierwsze: by był

Po drugie: by rozstrzygał o fakcie umierania

Po trzecie: by pocieszał

W twórczości Zbierskiej wszystko jest. Oprócz pingwina jest śmierć, jest koń, jest gangbang. A tomik *Wibrujące ucho* należy traktować jak hipermarket eufemistycznie nazwany galerią handlową. Każdy w nim znajdzie coś dla siebie, w każdym z dziewięciu wymiarów tego hipersześcianu przyczajony jest zaułek z McDonalodem, Empik z wałającym się po podłodze

pisemkiem RED., seks-szop z fajnymi zabawkami. I jak na każdy market przystało, reklamowany on jest twarzą blondyny wyprasowanej w photoshopie. Tak, bez wątpienia. Zdjęcie Zbierskiej jest najwartościowszym elementem tomiczka *Wibrujące ucho*.

## Tomasz Pułka, Paralaksa w weekend

No to sobie nie pogadaliśmy

Istnieje taka szkoła interpretacji tekstu, w której najważniejszy jest dialog między czytelnikiem a twórcą. Dialog ów ma charakter zapośredniczony. Tym co łączy umysł czytelnika z umysłem twórcy jest wytwór działalności twórczej artysty. W ramach tej szkoły dzieło traci swoją autonomiczną wartość jako dzieło sztuki. Dopiero jako element zapośredniczający, umożliwiający kontakt odbiorcy z nadawcą nabiera wartości, stając się czymś uznanym i zaczyna funkcjonować w przestrzeni społecznej jako element kultury.

Dokładnie o godzinie 13.11, dnia 11. maja roku 2009, siedząc beczynnio w domu w oczekiwaniu na telefon od pani z Powiatowego Urzędu Pracy, która skieruje mnie do kolejnej fabryki telewizorów na rozmowę kwalifikacyjną, w trakcie której będę musiał udawać kompletnego głupka, by nie spędzić kolejnych 32. lat życia dzielących mnie od emerytury przy taśmie montażowej, postanowiłem wejść w dialog z artystą, z jakimś polskim poetą współczesnym.

Padło na Tomasza Pułkę.

O godzinie 13.26 – czyli dokładnie kwadrans po tym, jak powziąłem zamiar dialogu z artystą – prawą ręką sięgnąłem pod biblioteczny regał, by wyjąć spod jego nóżki tomiczek, który skutecznie stabilizował stary, rozklekotany mebel z końca XVIII w. *Paralaksa w weekend* Tomasza Pułki – bo o tym tomiczku mowa – oprócz doskonałych cech czysto użytkowych jest zbiorem wierszy, które jak oczekiwałem urozmaicą mi wczesne popołudnie. Staną się pomostem między mną Markiem Trojanowskim (konsumentem), a Tomaszem Pułką (artystą-poetą, który pewnie ma własny biogram w **wikipedii**, bo jest tak sławny).

Dlatego też już o godzinie 13.34, tego samego dnia, rozpocząłem rozmowę z Tomaszem Pułką. Oto relacja z tejże pogawędki:

MT: Cześć Tomek.

TP: [milczenie]

MT: No cześć.

TP: [milczenie]

MT: coś się nam gadka nie klei. To może zacznijmy standardowo. Ja zbieram znaczki a ty masz jakieś hobby?

TP: Mieliśmy klatkę po myszkach (na miejsce)

MT: Poważnie? Też kiedyś miałem szczura, ale dziadek mi go ukatrupił, jak przyszedł do nas w gości na obiad. A mój brat Adam powiedział...

TP: I jeśli Adam powiedział A, to mierząc w linii prostej do punktu B jest tylko zaprzeczeniem (wiersz dla Adama Grzelca)

MT: Hmm, ale co jest zaprzeczeniem?

TP: [milczenie]

MT: Nie bądź taki, powiedz. Nie daj się prosić.

TP: [milczenie]

MT: No dobra, łaski bez. A umiesz powiedzieć coś dziwnego?

TP: A powtarzam za tobą, bo cenię sobie rozłogi mgły, czepiające się snu (wiersz dla...)

MT: Eee, ja tego nie mówiłem...

TP: więc wyjmij broń ze schowka (wiersz dla...)

MT: Tomek, nie rób sobie jaj, opowiedz lepiej co dzisiaj robiłeś?

TP: Dzisiaj przycinałem z matką winorośl (paralaksa w weekend)

MT: I jak było?

TP: Byłem głodny (paralaksa w weekend)

MT: A mama nie dała ci jeść?

TP: Matka w słońcu wyglądała jak rdza (paralaksa...)

MT: Nie, nie. Tomek, nie o to pytałem...

TP: Potrąciliśmy sarnę (rozdział)

MT: O! To mieliście jednak co jeść? A dlaczego ją potrąciliście? Jak to się stało?

TP: Patrzyła na szybę, nie widząc nas zupełnie (rozdział)

MT: Kłusujecie widzę tam po lasach, że ho, ho. A dziki chociaż badacie?

TP: szyby drżą jak pielgrzymka (oswajanie snu)

MT: Ja o dzikach a ty mi o dziwnych rzeczach opowiadasz. Opowiedz lepiej o dzieciństwie, chciałbym cię bliżej poznać.

TP: mieliśmy plac zabaw (oswajanie snu)

MT: Fajowo. A jaraliście fajki? My z braćmi debiutowaliśmy w rolach nałogowych palaczy na Radomskich, które paliła mama. A jak to było u was?

TP: Całe miasto tłące ślady (\*\*)

MT: Powaga? A co to są te ślady, które wszyscy w mieście jarali?

TP: Dobre dzisiaj ściany (\*\*)

MT: To u was naprawdę bieda była, skoro ściany jedliście. Co jak co, ale u nas zawsze chleb z cukrem był.

TP: Chodźmy wypocząć, całkiem blisko do hotelu (\*\*)

MT: Tomek, no wiesz...

TP: Mam ci się do pokazania (\*\*)

MT: Ale ja się nie całuję na pierwszych randkach.

TP: wezmę cię na ręce, przeniosę przez pokój (niezobowiązujące siedem i pół minuty)

MT: Nie dasz rady, nie w siedem i pół minuty. Mam 190 cm wzrostu i 120 kg wagi. Przepukliny dostaniesz.

TP: Świat jest o tej porze podejrzanie przestronny (wiersz dla Julii Szychowiak)

MT: Wielkość nie jest kwestią pory, ale dawki metanabolu i zastrzyków z omnadrenu. A tak prywatnie ci powiem, że fajnie są te twoje dedykacje dla koleśków i koleśkówek.

TP: Na niby. (szew)

MT: Skoro tak uważasz.

MT: Tomek, a masz dziewczynę?

TP: dużo dziewczynek (szew)



MT: A jak lubisz?

TP: Rekwizyty. Zupa rybna, papierosy (Wiersz, bo poszła do łazienki)

MT: Uuuu, to ty ostry koleś jesteś.

TP: jak suchy wąż, który karmi się dziećmi (radio, książki i kucharki)

MT: Tomek, a powiedz jeszcze coś głupiego?

TP: Retencja, korzenie, przecenione sploty dłoni oznajmujące zamyślenie (Pierwszy wiersz dla...)

Gadkę ową z Tomaszem Pułką mógłbym kontynuować jeszcze długo. Ale wybiła godzina 14.16. Jest poniedziałek. Słońce świeci. Sokrates mawiał, że chodzi między ludzi, by z nimi porozmawiać, dowiedzieć się czegoś. Bo czego się miałby dowiedzieć od drzew w lesie? Ludzie są bardziej interesujący niż kamienie czy zielone konary.

Po zpośredniczonej rozmowie z Tomaszem Pułką – współczesnym poetą, który ma biogram w wikipedii marzę tylko o jednym: by wejść do głębokiego lasu, zgubić się między gałęziami, położyć się na grubym mchu i nie mieć dookoła siebie żadnej istoty dwunożnej, nieopierzonej, która potrafi mówić. Być Robinsonem, który zabił i zjadł swojego Piętaszka. Dawno nie uczestniczyłem w tak bezcelowej i nonsensownej gadaninie.

Jest godzina 14.21. Sprawdzam mebel czy się nie kolebie na boki. Jest ok., a to oznacza, że *Paralaksa w weekend* Tomasza Pułki powróciła do swojego jedyne go kontekstu użycia, przestrzeni kultury, do której pasuje jak ulał.

## **Monika Mosiewicz, Cosinus salsa**

Traktat o odchudzaniu się przy grilu

Unikalne doświadczenia, kolekcjonowane przez okres dzieciństwa, dojrzewania i wieku dorosłego, nadają kształt charakterom i osobowości. Jest to jawny truizm, ale czy istnieje ktoś, kto zdołałby rozwiązać zagadnienie wpływu świata zewnętrznego na świat wewnętrzny i na odwrót? Czy istnieje jakiś rodzaj wiedzy prawdziwej na ten temat? Takiej, która nie wynikałaby z aksjomatów naiwnego materializmu, ani nie pochodziła z objawienia?

Problemy komunikacji między duszą a ciałem analizowane są w zaciśkach katedr uniwersyteckich i jak się okazało w debiutach literackich polskich poetów współczesnych.

Zbigniew Machej nie bez powodu skomponował z tej okazji wiersz, który kunsztem dorównuje któregoś z części *Dziadów*. Z tego powodu warto przytoczyć fragment owej laudacji:

*Uwaga! Uwaga!*

*Panie i Panowie*

*Oto nowy diament*

*Gwieździsty naszej poezji!*

Po tych słowach nawet laik nieobeznany z polską sceną poetycką wie, że w taki sposób można pisać tylko o jednej osobie – o poecie w spódnicy za kolana, o Monice Mosiewicz.

*Cosinus salsa* to czterdzieści tekstów ułożonych w wersy, czasami nawet w strofki. Ten sam Zbigniew, który pisał o diamentach gwieździstych naszej poezji, nie zawaha się dostrzec fenomenu illuminatio w owych trzewiach intelektualnych wciśniętych między kartonowe okładki:

*„Czytajcie go (tomiczek – m.t.) i chwytajcie,*

*bo was na pewno oświeci.”*

Na ostatniej stronie okładki, siedem milimetrów pod nazwiskiem „Zbigniew Machej” widnieje inna minirecenzja. Czytam w niej o tym, że „lekkko”, że „przyjemnie”, że „śmiech”. Miłosz Biedrzycki – bo to on skonstruował notkę numer 2 – doda też coś o jedzeniu o sposobie podania. I to właśnie dzięki Miłoszowi Biedrzyckiemu odkryłem coś, co według mnie nie tylko przesądza o autentyczności dzieła, o prawdzie immanentnej wydrukowanej dwunastką TNR na papierze kredowym, ale prawdę o człowieku, jego wnętrzu i cierpieniu. Odkryłem tragedię dziewczynki, która odkrywa pierwszą bruzdę cellulitu, która na własnej wadze łazienkowej, wyprodukowanej przez zakłady zbrojeniowe Łucznik obserwowała w skali tygodnia charakterystyczną dla efektu yo-yo cosinusoidę.

Ta niezwykle cenna wskazówka Biedrzyckiego Miłosza brzmi: „ *Podczas czytania tego zbioru czułem się podobnie jak podczas dobrze przyrządzonej potrawy: pożywne składniki tworzą nowa jakość dzięki zaskakującym zestawieniom, a wszystko razem dodatkowo zyskuje przez sposób podania. Polecam!*”.

Dodatkową wskazówką interpretacyjną, która wydaje się nie tyle ułatwiać recepcję 40. tekstów tego późnego debiutu, jest zdjęcie autorki.

W odpowiedniej stylizacji, aranżacji świetlnej, Monika Mosiewicz sprawia wrażenie skrzyżowania małego Azjaty z serialu „Partnerzy” – geniusza kung-fu – o imieniu Erni Lee z długowłosą, animowaną Pocahontas. Całości wizerunku dopełniają okulary o przepuszczalności 25% - tak jak u Bono lidera U2. Na takie jak nosi Kora Jackowska jest dla Mosiewicz jeszcze za wcześnie.

Nie byłoby w tym zdjęciu nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że Monice Mosiewicz w owej artystycznej aranżacji zabrakło lewej strony ciała. I ten właśnie brak ciała, który na fotografii zaczyna się na wysokości obojczyka (od tego miejsca zdjęcie zlewa się po lewej stronie postaci z okładką) w połączeniu z interpretacyjnym tropem kulinarnym Biedrzyckiego wydaje się być kluczem do odkrycia esencji tomiku *Cosinus salsa* Moniki Mosiewicz.

Trop kulinarny wydaje się być o tyle uzasadniony, że sam tytuł omawianego dzieła ma konotacje kulinarne. Salsa może być rodzajem tańca ale także rodzajem potrawy. Tu nie bez znaczenia jest też graficzne przedstawienie limonki na pierwszej stronie okładki. Jednakże najważniejsze tropy interpretacyjne, heroiczne opisy walki z cellulitem, drobiazgowo opisy

zbijania masy ciała a także bezsilność wobec pragnienia opróżnienia lodówki o godzinie drugiej w nocy – te relacje ukryte zostały w wersach.

Ale od początku.

Czterdzieści wierszy *Cosinus salsy* nie zostało zawieszonych w próżni. Tomik bowiem rozpoczyna się mottem. I co nie bez znaczenia: jest to jeden wers, oszczędny, dietetyczny jak jedna marchewka na dobę w jadłospisie grubaski, która wierzy w to, że przed sezonem urlopowym schudnie 20-30 kg i będzie mogła bez szkody dla otoczenia, bez narażenia się na niechcianą pomoc organizacji Greenpeace, która ratuje wieloryby, położyć się na plaży i poopalać. Warto go przytoczyć, bo okazuje się, że motyw tuszy w poezji Moniki Mosiewicz rozpoczyna się właśnie w tym wersie. Oto on:

*nie da się dwa razy przejść przez to samo lustro*

***szklarz znad frezu***

Oryginalny fragment **D 91** doczekał się licznych opracowań i interpretacji. Dlatego też zignorowanie autorskiej odpowiedzi Mosiewicz na dziedzictwo intelektualne Heraklita byłoby istotnym zaniedbaniem interpretacyjnym.

Motyw lustra w literaturze występuje z taką samą częstotliwością jak motyw zranionego serca czy miłości. Jednak w tym użyciu, jaki zaproponowała autorka *Cosinus salsy*, lustro pozbawione zostało swoje dwuznaczności. Lustro jest czymś, przez co można przejść tylko jeden raz. Zwraca uwagę fakt, że Monika Mosiewicz rezygnuje z pierwotnego „wejść do”, zastępując ową frazę oryginału „przejść przez”.

Przejść można przez dziurę w płocie, przez drzwi, przez okno, przez kanał. Przejść można dosłownie przez wszystko pod warunkiem oczywiście, że się jest wystarczająco szczupłym. I tu Monika Mosiewicz sygnalizuje czytelnikowi implicite problem, z którym się zmierzy na kanwie poezji. A mianowicie problem nadwagi. Jaki jest inny sens łączenia archetypu lustra oraz czynności przechodzenia? Czyż „szklarz znad frezu” nie zajmuje się szkleniem? Wpasowywaniem kolejnej tafli powlekanego srebrem szkła w drewnianą ramę zdobioną frezem? Dlaczego lustro tu funkcjonuje jako coś jednorazowego, nietrwałego, coś co stłucze

się, rozpadnie się, skapituluje w kontakcie z tkanką tłuszczu, fałdem brzuszny napędzanym energią kinetyczną obrotu sylwetki. Rozbije się na kawałki.

Studiowanie w odbiciu lustrzanym nowych fałd tłuszczu na brzuchu, krwawych rozstępów na skórze, kolejnych decymetrów kwadratowych cellulitisu na pośladkach, przedramionach, na policzkach jest zajęciem typowo kobiecym. Ale Monika Mosiewicz jako poetka w swoim debiucie postanowiła rozprawić się z światem kobiecych słabości do bitej śmietany, do słoiczka smalcu wieprzowego konsumowanego w trakcie emisji serialu *M jak miłość*, do zwierząt futerkowych.

W pierwszym tekście autorka wyjątkowo udanie połączy ze sobą trzy konsumpcyjne motywy: rzeźni, mlaskania i nażarcia się.

Napisze:

*wiewiórko, wiewióreczko, co mi rzeźnię robisz*

Dalej:

*śniegu mlaskający, śniegu nażarty śniegiem*

**(serce jak kastet)**

Zaskakuje precyzja użycia kategorii rzeźni, mlaskania i nażarcia. Mosiewicz jako poetka wydaje się ujawniać czytelnikowi swoją fascynacją wielkimi szlachtohofami, swoje uwielbienie dla **Smithfield Foods** – koncernu, dzięki któremu każdy może zjeść przynajmniej raz w tygodniu jednego mielonego kotleta. Zachwyty poetycki debiutantki nie kończy się na zwykłym „nażarcu”. Tak jak wskazywał Biedrzycki, ten rodzaj poezji, który przedstawia Mosiewicz jest przykładem powolnej uczyty, którą wymaga odpowiedniej kontemplacji.

Monika Mosiewicz jest poetką wpisującą się w szeroka falę buntu przeciwko światu, przeciwko ludzkim słabościom. Będzie starała się napiętnować wszystkie te żądze i instynkty, które powodują jej kończynami, gdy bezwolnie idzie do mięsnego by kupić kilo polędwicy

wędzonej na zimo, dwa kilo śląskiej i pęto podwawelskiej. W tekście numer dwa napisze jakby z wyrzutem:

*no i tak, spróbowałam...*

**(Zorbing)**

Autorskie *confessio* z własnych słabości po chwili zastąpi znamiennym powtórzeniem:

**lekkich, lekkich tchnień na karku**

(Zorbing)

Nieprzypadkowy dubel przymiotnika w połączeniu z pierwszą strofą kolejnego tekstu:

*Pedantyczna bezchmurność  
zacięta w powrotach na brzeg butelka,  
mewa obezwładniona pod wiatrem*

**(Interferencje)**

pozwała dotrzeć czytelnikowi do zastrzeżonych poziomów autorskich pragnień poetki. W tym kryptoświecie nie ma miejsca na niedoskonałość, na celulitis, na ociążałość ruchu. Świat ten jest rzeczywistością fotograficzną Leni Riefenstahl w której szczupłe, wysportowane blondwłose ratowniczkę ocierają się o spocony tors samego Davida Hasselhoffa, który w tym czasie prowadzi dialog filozoficzny ze swoim mówiącym autem.

W kolejnych tekstach zawartych w *Cosinus salsa* archetypy kulinarne także nie są bez znaczenia. W wierszu Wiatr leniwie tasuje powietrze, Monika Mosiewicz dwa razy użyje zdania: *Wiatr wydyma jej bluzkę*.

Mamy tu do czynienia z typowym wyparciem, z negacją rzeczywistości. Otyłość jako fakt empiryczny jest w tym tekście przedstawiana jako efekt oddziaływania czynnika atmosferycznego na garderobę.

Nieuświadomiona potrzeba eksterioryzacji bogatego w doświadczenia wnętrza poetki w pewnym momencie bierze górę nad wyrachowanym opanowaniem się w określonej sytuacji X. Znamy ten stan z grupowej terapii dla alkoholików, na których ludzie spotykają się po to, by w odpowiednim momencie wstać, spojrzeć innym w oczy, zobaczyć w nich siebie i powiedzieć:

*Nazywam się Jan Kowalski i jestem alkoholikiem.*

Monika Mosiewicz zaproponuje autorską formę analogicznej deklaracji terapeutycznej. Jeden ze swoich tekstów zatytułuje:

### **Nie lubię śledzi**

Nowatorstwo tego rozwiązania polega na tym, że:

Z jednej strony poetka wyklucza poza nawias zainteresowań kulinarnych istotną część pożywienia. Tym samym wyklucza raz na zawsze z jadłospisu ileś tam kalorii.

Z drugiej zaś proponuje dietę stopniową, polegająca na powolnym acz systematycznym wykluczaniu z diety pewnych produktów. Czyli najpierw śledzie, później wieprzowina, jabłka, wołowina etc., etc., aż w końcu człowiek zaczyna żywić się praną z kosmosu. I zdaje się to o kosmicznej energii pisze Monika Mosiewicz w tekście **W podróży**:

*Nigdy nie chciał być miejscem, zawsze był jak podróż,  
obmyślona przez cel, a nie drogę*

### **(w podróży)**

Terapia odchudzająca, którą proponuje Monika Mosiewicz wszystkim ludziom z nadwagą, będzie miała szanse powodzenia o ile autorka uwiarygodni ją własnymi, zgubionymi kilogramami masy ciała. Wierzę w to, że jej się uda, że sukces debiutu literackiego przełoży się na walkę z trzęsącym się od śmiechu tłuszczu na brzuchu, nawet gdy człowiek dawno przestał się śmiać. Podzielam optymizm Moniki Mosiewicz, która w jednym, z ostatnich tekstów *Cosinus salsy* nie tylko dokonała rehabilitacji archetypu lustra, które – przypomnę – w sposób autorski roztrzaskane zostało w motcie rozpoczynającym tomik, ale także tym

razem jako samoświadoma ograniczeń i słabości przedstawiła inwokację do dietetycznego tym razem jedzenia. Tekst ten, ze względu na rangę oraz treść zasługuje na przytoczenie:

*truskawki, ostrygi, futra, turkawki –*

*podrygi: zostawiamy w nieznanym pokojach*

*widziałeś: mają tu mydła z zatopionymi skarabeuszami.*

*Lustra: o, te zabieramy ze sobą, powabne szale*

*owijają miejsca, w które dopiero wejdziemy*

*a każdy ma swoje osobno.*

*Tak: z podniesioną głową,*

*w chłodnym zenicie stajemy się lżejsi.*

**(zimowe garden party)**

*Cosinus salsa* należy do kanonu lektur obowiązkowych tych wszystkich, którzy przynajmniej raz w życiu zmarnowali piętnaście minut przed telewizorem oglądając relację redaktor Markowskiej z kolejnych rekordów bitych przez członków **Klubu Kwadransowych Grubasów**.



## Wojciech Bonowicz, Wybór większości

Brązowe oczy i inne części ciała

Szczególną cechą polskich poetów współczesnych – oprócz czarnych kostiumów, obowiązkowej nadwagi lub gruzliczej niedowagi, oprócz kolczyków w brwiach, nosach, językach, oprócz błyskotliwych debiutów literackich (zwłaszcza, gdy są to tak zwane: „późne debiuty”) – jest umiejętność znajdowania inspiracji poetyckich w miejscach, w których nikt by się ich nie spodziewał znaleźć, a nawet w dupie.

Nie chodzi tu bynajmniej o przysłowiową dupę, ani o taką, która występuje w roli głównej w powiedzeniu: „mieć coś / kogoś w dupie”. Mowa tu o dupie anatomicznej. Jednej z części ciała, która zawsze jest z tyłu. Części, na którą jedni się gapią, inni podmywają, jeszcze inni podcierają i podmywają a bywają też tacy, którzy traktują owo miejsce anatomiczne jako coś, z czym można poeksperymentować. To znaczy: coś, do czego można włożyć palec wskazujący, by następnie napawać się konsystencją i aromatem substancji, która każdorazowo pozostaje pod paznokciem. Ci bardziej wygimnastykowani, wyćwiczeni w tajnych technikach jogi, którzy potrafią założyć obie nogi za głowę, wwacują się w analityczne instrumentaria - w umazane strapony, to w świeżo wyciągnięte, połyskujące penisy. Specjaliści w tej dziedzinie rozróżniają w odcieniach beżów i brązów a z konsystencji, z drobinek pozostałych w zafałdowaniach narzędzi badawczych, z natężenia zapachu potrafią z przybliżeniem do ok. 2 łyżek określić ilość skonsumowanej i przetrawionej zupy grochowej, która niepokojąco fermentuje w krańcowych partiach jelita grubego.

Czysta poezja.

Czysta poezja odkryta raz w dupie, musiała być odkryta także w innych częściach ciała. Poetyka anatomiczna była koniecznym, dialektycznym etapem rozwoju poezji po tym jak dawno, dawno temu pewien jaskiniowiec znalazł dobrą okazję by innemu, prominentnemu jaskiniowcowi dosłownie i w przenośni wejść w dupę. To wówczas powstały najtrwalsze rysunki z Alty.

Jednym ze speców od tzw. natchnienia anatomicznego jest narodowy wieszcz polski Wojciech Bonowicz. Dokładnie 4995 lat po tym jak uduchowiony troglodyta z Alty, po spotkaniu z drugim troglodytą aby dać artystyczny upust emocjom nagromadzonym po owym prehistorycznym wejściu w dupę namalował na ścianie wielkie brązowe oko, Bonowicz – korzystając z wynalazku Gutenberga – wydał dzieło, które uczyniło go sławnym. Mowa o tomiku *Wybór większości*, w którym Wojciech Bonowicz wyekspluatuje zbiór poetyckich archetypów – w tym konkretnym przypadku: zbiór archetypów anatomicznych – do tak zwanego „cna”. Pod wiersz u Bonowicza kolejno pójda: nosy, ręce, wnętrzości, głowy, oczy i gardła.

Ale po kolei.

**Głowa** (*caput*) - część ciała zwierząt, zajmująca u człowieka i u innych ssaków szczytowe umiejscowienie (ewentualnie przednie) [źródło: **wikipedia**].

W ramach poetyki anatomicznej Bonowicza ta część ciała funkcjonuje na dwóch płaszczyznach: zdroworozsądkowej i kosmicznej. Otóż głowa – co nie budzi zdziwienia – służy do tego by prawa komplementy (*głowę która mówi: tyś najpiękniejszy [kogo dzień dzisiejszy umieścić tak wysoko]*). Ale jakież to kosmiczne zdziwienie ogarnia czytelnika, gdy przeczyta o głowie, które jest „odgryzana” przez *deszcz* (*To deszcz tak ogryza głowy [nie mogą powiedzieć]*) czy też o *głowie*, która „wchodzi” pod ziemię (*moja głowa wchodzi pod ziemię [chorowali i umierali]*)?

Konstrukcja takich kosmicznych kontekstów funkcjonowania archetypu głowy w ramach poetyki anatomicznej ma swoje uzasadnienie. Najnowsze studia paleoantropologiczne na temat brązowego oka z Alty podkreślają fakt estetycznego zdziwienia, które było jednym z głównych celów prehistorycznych artystów. Tzw. „efekt łaaa!” – zdaniem uczonych – był świadomym zabiegiem żądnych poklasku i sławy artystów neolitu oraz podstawą słowotwórczą dla rzeczownika rodzaju męskiego: kał, który był pierwszym słowem wypowiedzianym przez przedstawiciela homo sapiens sapiens. W tym kontekście Wojciech Bonowicz wydaje się być wierny kanonom szkoły, do której wyraźnie nawiązuje.

**Ręka** (*łac. manus*) - dystalna część kończyny górnej naczelnych

**Ramię** (*łac. brachium*) jest częścią kończyny górnej

[źródło: **wikipedia**]

W ramach poetyki anatomicznej najbardziej eksploatowaną częścią ciała są u Bonowicza kończyny górne. Oto kilka przykładów użycia:

**Zoologiczne:**

*Dwa inne zwierzęta które proszę by nie wrywały mi rąk. (Dwa inne)*

**Teologiczne:**

*Składamy ręce dziękujemy (Występek)*

**Pornograficzne:**

*To moje ramię tak skrzypi maleńka. (Stworzenia)*

**Funeralne:**

*co się dzieje z tymi ramionami. Jedno już prawie zgniło (wielka potrzeba)*

**Dendrologiczne:**

*Na oczach wszystkich chłopcy drzewu wylamują ręce (Zmiany)*

Zakasująca wydaje się być pomysłowość i wrażliwość poety, który w trakcie pobytu w ZOO spogląda na rękę a następnie na leniwego lwa w klatce i potrafi wyobrazić siebie w roli wychudzonego chrześcijanina, który ku uciechu obywateli Rzymu ścigał się w nierównym biegu z wygłodzonym lwem, którego sam Scypion Afrykański przywiózł z podbitej Kartaginy. Przedstawienie takie samo w sobie nie jest odkrywcze, ale Bonowicz jako poeta wydaje się przebywać na takich wyżynach empatii i poetyckiego uwznioślenia, że nie tylko wyobraża sobie Ligie przywiązaną do rozjuszonego byka, nie tylko wyobraża sobie umięśnioną sylwetkę Ursusa, ale w chwili pisania wiersza **Dwa inne** cierpiał razem ze wszystkimi pierwszymi chrześcijanami rzuconymi na pożarcie lwom; był Ligią, Ursusem i bykiem.

Okazuje się, że niektóre z archetypów anatomicznych, które wykorzystuje Bonowicz są dawno odkrytym ładem. Takim jest na przykład oko.

Bonowicz popełnił błąd nie dlatego, że zbagatelizował fakt statusu kulturowego archetypu oka w kulturze śródziemnomorskiej jako artystycznego artefaktu (To właśnie oko było m.in. jednym z pierwszych przedstawień graficznych na ścianach jaskiń w okolicy Alty.) Ale przede wszystkim dlatego, że próbował dokonać rewizji semantyki tego motywu. Jego poetycka polemika z tekstem: *Oczy cziorne, oczy dziwne, oczy strasne i piękne, jak lubię ja was, jak bajus ja was, ja widział was w niecharosiz czas ta la la la...* nie przekonuje.

Bonowicz spróbuje zrewidować semantykę tego archetypu wprowadzając motyw chrystologiczny. Odwołując się do kontekstu biblijnego napisze: *chcę żebym wydał im oczy (Od razu)*. Wprowadzi także motyw ekologiczny: *dymy wyżerają w nim oczy. (Tak się dzieje)* a także agonistyczny: *wykluje któremuś oczy (spisek byłych mężczyzn)*. Wprowadzenie tych kontekstów (w szczególności: chrystologicznego oraz ekologicznego) do tego obszaru świadomości społecznej, w którym funkcjonują dzieła artystyczne, wymagało przezwyciężenia tradycji. W tym konkretnym przypadku Bonowicz musiał zmierzyć się z taką interpretacją oka, którą wyśpiewała Violetta Villas. Ale niestety, okazało się, że ta próba konfrontacji autorskiego kontekstu chrystologicznego z kulturowym kontekstem sowietologicznym funkcjonowania motywu oka, której efekty mogłyby na trwałe wpisać się w tradycję semantyczną tego archetypu, była czymś w rodzaju markowanego ciosu, na którego wyprowadzenie poecie nie wystarczyłoby ani siły ani umiejętności.

Najważniejszym tekstem Bonowicza powstałym w ramach poetyki anatomicznej jest tekst pt. **Przemoc**. Poeta napisał:

*obcinają paznokcie myją twarz  
przyrodzenie. I jeszcze napychają mu  
wnętrzości czymś czego tam  
nigdy nie było  
...  
czy dusza podąży za nerką gdy ta pozostaje przy życiu*

**(przemoc)**

Ewolucja artystyczna Bonowicza w ramach jednego tomiku, przebiegająca od części ciała w jego głąb, jest czymś nowym. Ale twórczym – we właściwym znaczeniu tego terminu – jest w poezji Bonowicza tzw. przewrót teologiczno-deepthroatyczny. Polski poeta połączy szczególny archetyp anatomiczny tj. gardło z podstawową kategorią każdej teologii – z pojęciem boga. Sygnał tej syntezy czytelnik odnajdzie w cytowanym fragmencie: *chcę żebym wydał im oczy (Od razu)*. Implikacje biblijne: wydania na śmierć, wydania ciała są wyraźne, ale nie zostały wyrażone *explicite*. Inaczej się rzecz ma z fragmentem:

*A Bóg jest gardłem świata*

**(Na koniec)**

Trudno uwolnić się od naturalnych skojarzeń głębokiego gardła, o miliardzie miliardów istnień, które uwalniają się jednorazowo pod ciśnieniem, odbijając się od boskiej krtani, spływając w pozornym nieładzie w kierunku boskiego żołądka by poddać się ontologicznej przemianie w zakolach jelita grubego a następnie powrócić do życia w zmienionej formie. Zamknięty cykl powstawania i ginienia oraz zagadnienie egzystencji, które w poezji Bonowicza pojawia się jako dialektyczny moment połączenia stwórcy i gardła wydaje się największym wkładem polskiego poety w rozumienie sztuki neolitu.

Dlatego nie może dziwić wznowienie dzieła, które zaledwie po 12. latach od swej premiery doczekało się ponownej edycji w Biurze Literackim. Nos wydawniczy Artura Burszty jak zwykle okazał się być niezawodnym organem anatomicznym.

## Izabela Filipiak, Madame intuita

I na trzy, czte, ry - panie płaczą!

Maciej Woźniak musiał kilka miesięcy spędzić nad swoją autorską antologią wersów, które wycinał z wierszy kolegów i koleżanek po fachu, po to by Radosław Wiśniewski - redaktor, juror, animator, organizator, krytyk literacki, poeta, felietonista, dziennikarz, mąż pani Kasi, która to zawodowo prezesuje stowarzyszeniu wydającemu pisemko RED, itp. Itd. - miał czym zapchać kolejny numer jakże poczytnego pisma literackiego RED.

Powstało 12 sonetów, które ułożone w kolumnach zajęły aż 3 strony RED-a. Obowiązkowo umieszczono pod nimi tabelkę z nazwiskami tych działaczy literatury, których dzieła posłużyły Woźniakowi za materiał wierszotwórczy. Jest tu obowiązkowo – m.in. Pani Prezes Radczyńska, Pan Wieszczy Miłosz, Pan Tłumacz Gutorow, Pan Redaktor Honet. W tabelce miejsca zabrakło dla m.in. Pana od Lali oraz Pani od Pozwów. To oczywiście dziwi, ale obserwując ewolucję twórczą Macieja Woźniaka wkrótce spodziewać się należy powieści – thrillera prawniczego, która powstanie ze zmiksowanych internetowych postów Moniki Mosiewicz oraz akapitów Lali. Wówczas zapewne Jakub Winiarski napisze recenzję, w której ogłosi narodowi polskiemu, że oto pojawił się nowy John Grisham.

Uprowadzając dialektyczny rozwój wypadków – jakby to powiedział jeden klasyk na spółkę z drugim: łagodząc ból porodowy historii – przygotowałem próbkę tekstu, który powstał z połączenia wierszy Izabeli Filipiak, wydanych w tomiku: *Madame intuita* z klasycznym harlequinem, sprzedawanym w kioskach RUCH - *Wszystko jest możliwe*, autorstwa Nory Roberts. Po lekturze przygotowanej próbki prozy okaże się, że wiersze Filipiak pozbawione wersów są nie tylko utrzymane w manierze kioskowego harlequina, ale co ważniejsze: są bliźniacze tematycznie i znaczeniowo z wątkami prozy miłosnej, która każdego wieczoru jest przyczyną sprawczą małżeńskich wyrzutów, które czyni rozfantazjowana małżonka znudzonemu mężowi.

Powodowany wrodzoną skromnością i pokorą z premedytacją uczyniłem ów zlepek niedoskonałym, wprowadzając do tekstu jedno zdanie od siebie (zdanie pogrubione). Sama

myśl o tym, bym mógł równać się z dziełem Mistrza Miksera od 12 Sonetów przyprawia mnie o ciarki, a każda próba dorównania mu z konieczności prowadzić będzie do potępienia.

Życzę miłej lektury.

- *Nie spotykaj się z nią Nie pozwól żeby z tobą rozmawiała. Nie zbliżaj się bo pierwsza naiwna nie wiesz jak i kiedy wykorzysty cię, wyzjuje z premedytacją z wiana z butów z pensji. Wypatroszy na zimno, wysie kosteczka za kosteczką. Wyżre szpik póki świeży a resztki wyrzuci.*

*Alan poruszył się niespokojnie. Nie pierwszy raz słyszał aroganckie uwagi na temat ludzi swego pokroju i profesji. Czasem wypowiedano je głośniej, czasem ciszej, w zależności od sytuacji. Najczęściej ignorował je, tym razem jednak poczuł się urażony.*

*Kiedy spotkał ją potem w barze była już inna ostra jak żyleta. Nonszalancja papieros i podgolone włosy, agresywna suka która niczego nie przepuści. To tamta, ta druga tak ją nastawiła - przeciwko niemu gdyby nie ona dogadaliby się. Tamta obserwowała ich dyskretnie znad maszyny z piosenkami. Znasz mnie przecież, powiedziała Żyleta. Powinnam była zostać nieszczęśliwa Wtedy mogłabym tęsknić za tobą. Powinnam być średnio szczęśliwa, wtedy Być może wybaczyłabym tobie.*

- *Ale tak jak jest, honey, to się nie składa, nie składa się dobrze dla ciebie.*

- *Czy mi się zdaje, czy masz skłonność do upraszczania pewnych spraw? - zapytał.*

- *Tylko wtedy, kiedy nie chce mi się w nie zagłębiać - przyznała beztrąsko. - I kiedy dotyczą polityki, którą uważam za denerwujący produkt uboczny rozwoju ludzkości. Niestety, pojawił się już wtedy, kiedy Mojżesz wdał się w dyskusję z Ramzesem.*

- *Zdaje się, że nie przepadasz za politykami.*

*Nie odpowiedział, więc pochyliła się, by odczytać coś z wyrazu jego twarzy. Z zaciekawieniem obserwowała przemykające po niej cienie. Poczula chęć, by dotknąć jej palcami, poczuć ciepło jego skóry.*

- *Chcesz wrócić do środka? - zapytała.*

- Nie. - Gładził kciukiem przegub jej dłoni, więc wyczuł, jak nieznacznie przyspieszył jej puls.  
- Dopóki stamtąd nie wyszedłem, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się nudziłem.  
- Szkada...

Z westchnieniem podniosła się z fotela. On także wstał. Nie wypuszczając jej dłoni, stanął tak blisko, że niemal się dotykali.

- Dlaczego szkoda? - zapytał cicho.

Zatrzymał spojrzenie na jej ustach, a potem spojrzął jej głęboko w oczy. Nie prosił jej o spotkanie, a to, co przed chwilą powiedziała, oznaczało, że w kontaktach z mężczyznami szybko przyjmowała inicjatywę. Cóż, nie wprawiło go to w zachwyt. Wolał kobiety, które cierpliwie pozwalają się zdobywać.

Zmrużyła oczy i zerknęła na niego przez ramię. Stał przy balustradzie, opierając się o nią nonszalancko. Wyglądał na rozleniwionego, ale mogłaby przysiąc, że gdyby na przykład zagrała mu teraz na nosie, dopadłby jej jednym skokiem. Bardzo ją zresztą kusilo, żeby to sprawdzić. Nie mogąc opanować emocji, wewnętrznej burzy uczuć padła przed nim na kolana i szlochając błagała:

- Rozmawiaj ze mną z tą czułością w głosie od niechcenia, schowaj mnie do kieszeni, wtul w miękkość szalika, rękaw marynarki. Podziel się ze mną kawałkiem pomarańczy. Pozwól mi wyjść z twojego talerza zielone pasma brokuł i przecinki papryki rude jak krew. Oddaj mi swoje łóżko. Podaruj mi swoje nazwisko. Daj mi przyszłość, niech do niej dorosnę.  
Zatańcz ze mną. Poprowadź po kafelkach, parkietach, schodach. Zakręć mi w głowie, przytrzymaj z czułością, zaryzykuj tango. Obiecuj, że zrobimy to niedługo znowu. I znowu. I znowu i jeszcze. Po wielokroć, póki przeszłość nie spadnie jak niechciany prezent wcześniej zamówiony dostarczony za pokwitowaniem I cóż jeśli protestowałam że nie jest tym co ja pamiętam chciałam a tego nigdy nie.

Pomimo półmroku wyraźnie widziała ironiczny, pewny siebie uśmieszek, jaki błąkał się po jego wargach.

- Nie bądź śmieszna. Nie jesteś mi potrzebna bardziej niż ja tobie. Nie będę dłużej patrzeć jak się pogrążasz. Żadnego zrozumienia nie doczekam się.



*Rozłoszczona jego drwiącą miną energicznie poprawiła grzywkę.*

*- Gdzieś pod spodem jest we mnie ta kobieta która się domaga, roszczeniowa bestia. Jej żądania czynią mnie bezsilną. Pragnie wypłaty moralnych odszkodowań tym zniechęca ludzi Jest skłonna do szantażu lecz nie kompromisu, nosi w sobie krzywdę nieopisaną.*

*Nie da mu tej satysfakcji i nie okaże zdenerwowania, obiecała sobie i mocno pchnęła drzwi, prowadzące do salonu. Tak właśnie zakończy się ich znajomość.*

## Ewa Furgał, Ekstremizmy

Zamiast: “Na trzy czte i ry - panie płaczą! II” będzie lesbijski romans z owczarkiem niemieckim w tle

Kolejny odcinek z cyklu „z kopa w jaja” miał dotyczyć Ewy Furgał i jej dzieła: Ekstremizmy. Zacząłem go nawet pisać, ale po kilku zdaniach zorientowałem się, że piszę o kolejnym płaczącym harlequinie, a odcinek nosiłby tytuł: „Na trzy, czte i ry – panie płaczą II”. Oto mała próbka możliwości Ewy Furgał (tekst bez podziału na wersy):

*budzik dzwoni o zbyt wczesnej porze a ona obejmuje mnie ciasno więc to nie będzie proste ale uciekam snom ciepłym dłoniom i wrażeniu że ktoś mógłby się włamać i zabrać nam wszystko bo drzwi są zamknięte tylko na raz - zakładam obręczkę którą dostałam od niej na rocznicę i już czuję się ubrana jeszcze tylko całuję ją zamykam drzwi na dwa - na schodach spotykam wredną sąsiadkę (no kto napisał na klatce „lesby”)? i wychodzę na świat bezbronię bezmyślnie bez niej.*

Jak łatwo się domyśleć: po dodaniu do tego tekstu fragmentu dowolnego romansidła o perypetiach miłosnych pana i pani, oraz – co istotne: zamianie formy rodzajowej męskiej na żeńską. Czyli po tym jak romansidło „pan-pani” zmieniłoby się na romansidło „pani-pani”, powstałby wyciskacz łez w klasycznym, amerykańskim stylu. Każdy akapit mógłby się równać ze scenami symulowanych pocałunków, jednoznacznych spojrzeń, lakonicznych dialogów i mądrości życiowych z filmu *Casablanca* pod warunkiem, że Bogartowi urosłyby cycki. Ale czy świat a co ważniejsze kultura zaakceptowałyby taką transmetamorfozę kultowego aktora?

Można też spróbować zastanowić się nad reakcją Ilsy Lund, która widzi przed sobą cycatą brunetkę z papierosem w ustach i kiedy zamiast zdawkowego: „bye darling” usłyszałaby:

*- Mówią że nieobecność nie zostawia śladów jak to się dzieje że twoja jest widoczna nad wyraz wróć już oczyść ulice z kurzu i tęsknoty powiedz tylko słowo a znajdę dla nas hotel w*

*najjaśniejszym punkcie miasta niech na tę jedną dobę świat przestanie istnieć niech nas usłyszą niezawodnie.*

Nie mam żadnych wątpliwości, że takie wyznanie nagrodzone zostałoby przez akademię filmową złotą statuetką. Powodów także nie mam by wątpić, że każdy film, oparty na scenariuszu, do którego Ewa Furgał dodałaby coś od siebie, wzbudzi emocje większe niż audycja Wellesa w New Jersey w 1938 r.

Ale najciekawszym eksperymentem o charakterze poznawczym będzie próba syntezy dzieł Ewy Furgał i Izabeli Filipiak. Oto zmiksowany fragment powstały na bazie *Ekstermizmów* i *Madame intuita*. Tym razem w tekście ode mnie jest tylko jeden znak zapytania.

*Pozbyłam się jednej z moich ewentualnych przyszłości. Jest w tym postanowieniu przynajmniej jakaś lekkość. Chodzę szybko, ale wciąż marzną.*

- *Czy pozwolisz mi się ogrzać przy tobie? Nigdy nie usłyszałam: Nie.*

- *Kobiety mówią szeptem żeby ich nikt nie usłyszał. Czasem trudno uwierzyć, że w ogóle mówią cokolwiek.*

- *Więc czekasz jeszcze? Dalszego ciągu nie będzie. Jeżeli musisz odczuwać niech będzie to substytutem twoich lęków.*

-*Jeżeli muszę istnieć ból nie wystarczy mi za inspirację. Gdy czymś się ze mną dzielisz, próbuję cię powstrzymać.*

- *Uważaj, bo jestem nieskromna!*

-*Nie tak szybko!*

- *Oswajaj mnie ostrożnie, nie pozwalaj mi na brak umiaru. Nie rozbudzaj we mnie, czego nie będziesz w stanie zaspokoić, Nie zostawiaj mnie głodnej.*

*two years later*

*- Bądź ze mną! Krzyczałam na ciebie żeby przekrzyczeć tamten londyn sprzed dwóch lat co szumiał w głowie tak mocno że musiałam uciec.*

*- Trudno przeżywać miłość dramatycznie Gdy ciągle chce się śmiać. Moja kochanka nie jest kobietą tylko zwierzątkiem.*

*- ?*

*-Nie słuchaj mnie wcale.*

*- Rozmawiaj ze mną z tą czułością w głosie od niechcenia. Obiecuj, że zrobimy to niedługo znowu. I znowu. I znowu i jeszcze Po wielokroć Póki przeszłość nie spadnie jak nie chciany prezent wcześniej zamówiony dostarczony za pokwitowaniem I cóż jeśli protestowałam że nie jest tym co ja pamiętam chciałam a tego nigdy nie.*

*- Odjadę o wschodzie. Ucieknę lecz musisz mnie zauważyć!*

*Łódź Fabryczna 4.48. Czuję się dziwnie gdy wywołano tę godzinę jestem przytomna i chcę przetrwać. Zaraz odjeżdżamy. Moja kochanka nie jest kobietą tylko zwierzątkiem. Ma cztery łapy i futerko, nie używamy już słów tylko pomruki. Jak kochance na boku chcę powiedzieć: Jesteś cudowna ale jesteś zarazem zbyt kosztowna. Miło mi dbać o ciebie. Jeszcze kilka okrążeń wokół stacji Jeden rzut oka. Kontroler za kuloodporną szybą. Ślizgiem w dół. Och, pociągu magia kołysze mnie. Tym razem nie dałam się skopać ze schodów.*

Wersja lesbijskiego romansu z owczarkiem niemieckim w tle zapewne zrewolucjonizuje myślenie o rasach obronnych. Mężczyźni udomawiając psa kilka tysięcy lat temu poznali się na tym rodzaju rozkoszy, która powstaje z połączenia miodu pszczelego własnych jąder i psiego ozora. Pora żeby urok tej przyjemności zaznały i kobiety. Mimo opóźnienia cywilizacyjnego doświadczenie owo może okazać się przełomem w rozwoju emocjonalnym rodzaju żeńskiego. I spodziewać się także należy, że wiersze Ewy Furgał oraz Izabeli Filipiak

wejdą do zbioru dzieł kanonicznych nie tylko literatury światowej traktującej o relacjach człowieka z zdomestykowanymi czworonogami, ale staną się materiałem dla badań naukowych poświęconych fakturze języka owczarka niemieckiego oraz współczynnika ścieralności naskórka okolic krocza płci obojga.

## **Mirka Szychowiak, człap story**

Sztuka pisania zaklęć.

Slogan: „W rodzinie siła!” – hasło wyborcze Romana Giertycha, motto biznesowe Waldemara Pawlaka – ma także swoje przełożenie ontologiczne w polskiej poezji współczesnej.

Często bywa tak, że tyrający w pocie czoła mężowie, chcąc mieć po pracy spokój w domu odpalają działkę swoim upierdliwym żonom, by te zaspokajały swoje humanistyczne ambicje. Miesięczne kieszonkowe jest na tyle wysokie, że żoneczki zakładają sobie fundacje, urządzają sobie spotkania i konkursy. Innymi słowy: organizują sobie cały czas wolny. To oczywiście uwalnia męża od obecności żony, żonę zaś uwalnia od obecności męża. I wydawałoby się, że takie wzajemne uwolnienie się od siebie oznacza koniec małżeństwa, ale przecież nie do takich poświęceń zdolny jest polski naród, byle tylko rozwijać ducha kultury.

Bywa też odwrotnie. Czasami jest tak, że to żony pracują na literackie hobby swoich mężów. Zakładają one fundacje literackie. Szefują im, piszą wnioski do ministerstwa, ciułają forszę od sponsorów po to tylko, by zarobić trochę grosza i móc odpalić miesięczną wypłatę mężusiowi, który tak się przypadkiem złożyło, że zatrudniony został na etacie w fundacji, której szefuje prezes-mażonka. Mążus oczywiście nie jest jakimś tam figurantem na liście płac. Przeciwnie: udziela się i to na najwyższych poziomach działania fundacji żony. Zwykle – co dziwić nie może i nie powinno - nie zadowolą go etat konserwatora powierzchni płaskich. Aspiruje do stanowiska wiceprezesa albo przynajmniej jakiegoś redaktora naczelnego.

Prawdziwym ekstremum rodzinnym współczesnej poezji polskiej jest ród Szychowiaków. A dokładniej ta gałąź drzewa genealogicznego, która ma swój początek w małżeńskiej przysiędze Mirosławy i Bogusława.

Dawno, dawno temu Bogusław spotkał Mirosławę. Obiecał jej, że będzie ją kochał i że nie opuści jej aż do śmierci. Udało mu się wytrwać w przysiędze. Co więcej: udało mu się pewnego razu zapłodnić żonę a żonie udało się urodzić dziecię – dziewczynkę Julię, której dano na nazwisko Szychowiak.

Córeczka nie wdała się w tatusia. Poszła śladami mamy. Dosłownie. Wzrost ma po niej, kolor włosów i nawet fryzurę odziedziczyła w spadku genetycznym. Nie wspominając o idealnych proporcjach ciała, odpowiadających klasycznemu kanonowi piękna.

Wracając jednak do Mirosławy. Od kiedy wspólnie z Bogusławem zamieszkała w domu o powierzchni 168 m<sup>2</sup> i wartości 200.000 plnów, zmieniła się nie do poznania. Mirosława Szychowiak stała się poetką Mirką Szychowiak.

Obie tożsamości żony Bogusia funkcjonują autonomicznie. Mirosława zarabia jakieś 28 patyków rocznie, dyrektorując centrom kulturalnym a kiedy zdarzy się po temu okazja startuje w wyborach, chcąc zrealizować się na arenie wielkiej polityki. W odróżnieniu od tej ekstrawertycznej osobowości, Mirka jest skryta, wycofana. Jest delikatną, uduchowioną istotą, która pisze wiersze, która od czasu do czasu pojawi się na jakimś konkursiku literackim, by odebrać nagrodę – o ile jej dadzą.

Nie wiadomo, które z tych wcieleń preferuje pan Szychowiak. Czy urzędniczo-polityczną Mirosławę w kostiumiku, ze skórzaną aktówką pod pachą i laptopem na ramieniu, czy może Mirkę artystycznego anioła w powłóczystych, równie artystycznych szatach o nieustalonym kroju i konsystencji materiału?

To wydaje się nie mieć znaczenia, gdyż najbardziej interesującym pozostaje zawsze skutek połączenia. I nie chodzi tu o naturalną koniunkcję jajeczka z plemniczkiem, ale połączenie słowa i obrazu – czyli talentów artystycznych Bogusława i Mirki.

W 2005 r., drukarnie opuściło dzieło pachnące farbą pt. *człap story* - 38 produktów autorstwa Mirki Szychowiak, które sprzedawano w promocji z dołączonymi grafikami Bogusława.

Na obrazkach tych – jak na artystyczne obrazki przystało – jest coś niewyraźnego. Niby konik, niby droga, niby jaskinia. Niby okno, niby kratki, niby faktura ściany. Są też jakieś kręgi ale też jakby na niby. Innymi słowy: Bogusław dał poszaleć wienie. Ale owo szaleństwo

blednie, traci swój jałowy wyraz sztuki nowoczesnej w porównaniu z tekstami Mirki. Bo teksty Mirki z 2005 zaskakują.

W *człap story* nie ma treści wielkich, uniwersalnych prawd i mądrości. Mirka Szychowiak jako poetka mówi za siebie i o sobie. Jednak jej wiersze i sposób w jaki opowiada nie tylko się podoba, ale sprawia, że czytelnik odnajduje w tych autorskich narracjach za każdym razem coś swojego, coś unikalnego i niepowtarzalnego.

Oto przykład. Tekst: **kobietę trzykrotnie upadłą stać na wiele.**

*Powiedzmy, że lubię żyć intensiff.  
Nie pytaj o szczegóły tylko obserwuj.  
Potem mi powiesz, co było nie tak,  
bo jak zwykle nie mam czasu na postoje.*

....

*Te szpitalne kwity, to dobre alibi, gdyby  
mnie poniosło. Kobietę trzykrotnie upadłą  
stać na wiele. Rośnie jej apetyt, zaostrza smak.  
Nie żeby zaraz szła mamuta. Po prostu nic już  
nie umiem powoli – spać, jeść, kochać. Inny napęd.  
Dlatego musimy zmienić sobie instrukcję obsługi.  
No i jak chcesz – nauczę cię fruwać.*

Mirce Szychowiak udaje się niebywała sztuka – prawdziwa sztuka latania. Mianowicie: unika poetyzacji – wszystkich pokracznych przez to kuriozalnych metafor, które każdorazowo wywołują tylko śmiech. Używa zwykłego języka i prostych zdań. Tym językiem i ascetycznymi środkami wyrazu opisuje określone emocje prosto i wprost, dzięki temu pozostawia swoim czytelnikom interpretacyjne pole dla empatii. I teraz najważniejsze: obrazowość w tekstach Szychowiak nie wymaga uprzedniej dekonstrukcji metafor, nie jest skutkiem odkrycia sensu w hermetycznym przekazie. Zrozumienia wymaga dopiero indywidualna reakcja na obrazy, empatyczny odruch wewnętrzny, który pojawia się indywidualnie po lekturze tekstu. Na tym polega przewrotność ale i wartość tekstów z *człap story*.



Człap story to większości przypadków opowieść pierwszej osoby liczby pojedynczej. To skazuje czytelnika na status intymnego obserwatora, który może tylko podglądać. Pierwsza osoba liczby pojedynczej w wierszach Mirki Szychowiak ignoruje sferę pozatekstową, koncentrując się na budowie osobliwej rzeczywistości świata wewnętrznego. W tekście **dżdżdżdżdżu** poetka napisze:

*Taki robak. Lezie sobie dżdżdżdżdżu. Się  
posuń mały, zrób miejsce koleżance, popęzamy  
razem, tylko daj cynk koleśiom, niech  
rozejdą się na boki, żeby ich nie zgniotła.  
Nie jestem waszym wrogiem, proszę tylko o azyl.*

*Szanowne robactwo, mrowie i reszta ruszaków:  
Z uwagi na gwałt zbiorowy, w którym przypadła mi  
Rola ofiary – zmuszona byłam opuścić moją ziemię.  
Liczę na to, że u was jest spoko z poszanowaniem  
praw człowieka i nie odeślecie mnie z powrotem.  
Może zrobimy kiedyś jakąś małą rewolucję?*

Zantropomorfizowane robaki pozbawione cyfrowego symbolizmu są zwykłe, ludzkie – tak ludzkie, jak tylko ludzie potrafią być, gdy zdecydują się na bycie tym, kim powinni być.

Warto w takich obrazach zobaczyć coś więcej. Coś co jest i pozostaje poza chitynowym pancerzem, poza zbiorowością i innymi obrazami. Warto zobaczyć tu kilka prostych formuł: „Szanowne robactwo...”; „Nie jestem waszym wrogiem...”; „Się posuń”; „proszę tylko a azyl” – zakłęk dyskursu magicznego, dzięki któremu powstaje kolejny – używając słów poetki - „stan wyjątkowy”, który jest tak wyjątkowy, jak wyjątkowa może być tylko pospolitość w świecie pełnym cudów.

Trudno oprzeć się tym prostym czarom Mirki Szychowiak. Prostota zakłęk jest gwarantem skuteczności oddziaływania poetyckiego uroku. Oto kolejny przykład zdań prostych, które dodane do siebie stanowią idealną całość. Szychowiak pisze:

*Znajdź przytomniejsze miejsce, okop się  
i nie czekaj. Póki nie pogubiłeś nasion,  
urządźaj ogrody tam, gdzie woda popłynie  
rozrzutnie, pod skórą wystąpi z brzegów  
i oboje staniecie się poświęceni, spokojniejsi.*

*I niech to nie dzieje się w mgnieniu oka,  
nie dzieli na cykl wzrostu i niecierpliwego zbioru.  
Zacznij ufać słońcu, ono nie jest na każde  
skinienie, bo inaczej się skurczy i wypali.  
Nie popędzaj niczego, niech się dłuży.*

**(ślimacz ślimacz)**

Oczywiście na końcu zawsze można zapytać: po co czytać taki rodzaj poezji? Ale równie dobrze zapytać można o powód lektury ksiąg czarnoksięskich i naukę sztuki magii.

## Ryszard Chłopek, Węgiel

Ballada o lekkim zabarwieniu górniczym

W 2001 kilka milionów fanów polskiej szkoły reportażu śledziło na ekranach telewizorów losy górnika Andrzeja Biesa i jego telefonu komórkowego. Andrzej Bies był jednym z setek górników, którzy w ramach restrukturyzacji kopalń zgodzili się dobrowolnie odejść z pracy pobierając jednorazową odprawę w wysokości czterdziestu tysięcy złotych polskich.

Kwota ta, jak na owe czasy, mała nie była. Ale większość w pół roku przepiła, przejadła albo przeruchała odprawy. Jednak liczący sobie wówczas 28 lat, Andrzej, wykazał się niebywałym instynktem. Wziąwszy sobie do serca słowa Leszka Balcerowicza, forszę zainwestował. Kupił mieszkanie i telefon komórkowy. Należy wiedzieć, że w owym czasie najnowszy model komórki miał gabaryty cegły i wprost proporcjonalną do rozmiarów cenę. Zaś jeden impuls rozmowy krajowej, naliczany co 5 sekund, kosztował tyle, co obecnie 9 godzin telekonferencji VoIP między Polską a Hawajami.

Historia młodego górnika, którego marzeniem życiowym było położyć sztangistkę Agatę Wróbel jeżeli nie do łóżka to przynajmniej na rękę, tak bardzo się wszystkim spodobała, że autorzy reportażu zgarnęli masę nagród, a sam Andrzej Bies nie potrafił opędzić się od ofert pracy. Zadebiutował w teatrze i co dziwić nie może – w kolejnym reportażu społecznym: *Ballada o lekkim zabarwieniu erotycznym*.

W jednym z odcinków, poznał urok zatrudnienia na umowę o dzieło. Miał wykonać prostą pracę w firmie prowadzonej przez małżeństwo Naturalnych – na jednej z dyskotek miał wylać trzy 20. litrowe wiadra kisielu na półnagie dupeczki, które na oczach najebanej i rozbawionej gawiedzi tłukły się o całych 25 zł premii za wygraną walkę w kisielu. Andrzej, przywykły do robót ciężkich na przodku, spisał się bez zarzutu. I tak słuch i ślad o nim zaginął.

Teraz zapewne Andrzej Bies pracuje jako ochroniarz na parkingu i za 50 gram wódki czystej opowiada historię swojego życia, czekając jak Henryk Gołębiewski na medialne resurectio.

Historia „serca z węgla”, górnośląskiej biedy, biedaszybów i w ogóle historia biedy zawiera w sobie pewien magnetyzm, który budzi w odbiorcy to, co najsłabsze – empatię i współczucie.

Mitologia górnego śląska niezależnie od czasookresu, od ideologii od potrzeb społecznych jest mitologią atrakcyjną – także pod względem literackim. Koń o godności Łysek nie tyrał gdzieś na wyżynie lubelskiej, ciągnąc za sobą pług. A i pewnie Szkapo o imieniu Nasza miała swoich praprzodków wśród kopalnianych koni z górnego śląska.

Nie sięgając w czasy nazbyt odległe analizując fenomen mitologii górnego śląska warto odwołać się do twórczości Kazimierza Kutza, który jako reżyser wysysał ze śląska tyle ile tylko mógł bacząc na ustroje. W latach 70. była *Sól czarnej ziemi*, w latach 90. pojawił się *Zawrócony* z brawurową rolą Zamachowskiego.

Wszystko ładnie, wszystko pięknie bo mitologia węgla jest do tego stopnia zakorzeniona w świadomości społecznej, że inspirując się nią w jakikolwiek sposób na płaszczyźnie artystycznej nie sposób nie dostać jakiejś nagrody, a przynajmniej: nie zostać senatorem PO w parlamencie RP.

Jeden ze współtwórców ideologii neoliberalizmu nauczał, że teoria jest naukowa po warunkiem, że zbiór jej falsyfikatorów nie jest zbiorem pustym. To znaczy: teorie naukowe są teoriami fałszywymi. Aksjomat fałszywości odnosi się także do tych dzieł kultury, które nawiązują w jakikolwiek sposób do mitologii węgla i górnego śląska. A dokładniej: do dzieła Ryszarda Chłopka pt. *Węgiel*.

Chłopka o imieniu Ryszard ten sam, który – czego dowiódł w nocy na ostatniej stronie późnego debiutu Aleksandry Zbierskiej - potrafi za jednym zamachem wykombinować przynajmniej 3 synonimy czasownika „wibrować”, w 2007 r. wydał zbiór wierszyków opatrzonych wymownym tytułem *Węgiel*.

*Węgiel* Chłopka, to 33 strony, przez które trzeba się przebić dynamitem. To zbiór tekstów ciosanych w czarnym kamieniu ciężką dłonią górnika. To kolekcja górnośląskich metafor wkuwanych na kółkach poetyckich organizowanych w ramach dokształcania sztygarów. Czytelnik z rocznika 80 i parę nie zrozumie istoty *Węgla*, bowiem zubożony jest o unikalne pod względem historycznym doświadczenie PRL-u. Któż ze współczesnych jest w stanie pojąć semantykę metafor, które z taką lubością stosuje Ryszard Chłopek:

*sączy się cisza*

**[J a k tę samą estetykę przyjąłem za swoją]**

*śpiewa cięciwa.*

*pięta świeci*

*błyszczą się rydwan*

**[Problemy z Achillesem]**

*przykuca ciemność.*

*męskie uda falują nad drogą,*

**[Dlaczego nie barbarzyńcy]**

*melodia osiada na drzewach,*

*ukojenie rozpięte na kościach*

*zamkniętym okiem znaczy zmiany kursu.*

**[Cichy wróg]**

*Zdrada rośnie mi w uszach*

**[zgroza, zgroza]**

*Kruchość wbija się w skórę lub tkwi pod paznokciem,*

*wiatr domyka przestrzeń*

**[Ballada z tej strony]**

Albo czyż istnieje takie czytelnicze serce, które nie skapituluje przed tymi Chłopkowymi wersami:

*pożółkłe dłonie drżą jakby na wietrze  
tuż przed wybuchem słońca na krze horyzontu,*

**[Reszta załogi „Narcyza”]**

Oczywiście – jak na dzieło nawiązujące explicite do mitologii górnego śląska przystało – tomik Ryszarda Chłopka wzbogacony o jeszcze jedno dzieło literackie na temat węgla. W tekście pt. **Zapuszczam się**, Chłopek opisze dramat społeczno-ekonomiczny związany z wykradaniem czarnego złota z transportów kolejowych przez bandy szmuglerów, które następnie przewożą kamienne bryły rozklekotanymi nyskami gdzieś w głąb Polski.

*Teraz zapuszczam się*

*Teraz zapuszczam się w siebie, zjeżdżam windą na dół,  
aż po szklany korytarz, gdzie niosą moje serce; wiercą  
w nim, wkładają dynamit, gdzie kombajn leniwie  
szarpie kruszec tkanki.*

*Tutejsi górnicy to ludzie spokojni i dobrzy,  
szanują pracę w dobie likwidacji kopalń,  
ale też nie ma tu przodowników, ciemnych  
tytanów pracy.*

*Kto mnie kradnie na torach, kto mnie wrzuca do pieca,  
kto mnie rozwozi furmanką po skrzypiącym śniegu  
albo kto starym żukiem wpada teraz w poślizg,  
bo wiekowe opony nie słuchają drogi  
i cały ja  
leżę teraz w rowie.*

*Czasem szyb pustoszeje, nawet nie brzdęknie winda,*

*a ja wiszę na ścianach i ciągnę się jeszcze tak głęboko w ziemi.*

*„I jestem wszędzie gdzie jestem”,  
i mam jednak coś wspólnego ze sobą.*

Chłopek jako poeta bezwzględnie rozprawi się ze szmuglerami, z czarnym rynkiem węglowym i całą mafią węglową, która żeruje na zdrowej tkance polskiego górnictwa. Nie pozostawi złudzeń, przeciwstawiając „tutejszym górnikom, ludziom spokojnym i dobrym”, którzy „szanują pracę” tych, co: „kradną na torach”, którzy: „rozwożą furmanką”, którzy „starym żukiem wpadają w poślizg”, tych, co węgiel: „wrzucają do pieca”.

Chłopek nawiąże do romantyzmu związanego z czarnym złotem. Lakoniczny tytuł tomiku *Węgiel* jest jak oszczędna odpowiedź sztygara: „wypieroloj”, której ów udzielił kadrowemu, gdy ten przyszedł go zapytać o to, czy weźmie udział w pochodzie pierwszomajowym.

Być może zaangażowany tomik Ryszarda Chłopka zostałby zauważony a kto wie – może i doceniony przez krytykę, gdyby nie jego zapóźnienie. Tomik *Węgiel* ukazał się w 2007 r., czyli jakieś sześć lat za późno w stosunku do debaty społecznej i literackiej na temat górnego śląska, doli sztygarów i tych wszystkich ludzi, którzy nauczeni zostali jednej prostej czynności: jak skutecznie napierdalać w czarną ścianę kilofem, by coś się z niej odłupało.

Ryszarda Chłopka należy jednak pochwalić za to, że próbuje – trochę niezgrabnie, ale zawsze jednak – korzystać z nauk objazdowych nauczycieli do polskiego, którzy w latach 70. i do końca lat 80. prowadzili w świetlicach kursy dla poetów po tytułem: „Wypróbowane i sprawdzone metafory poetyckie. Instrukcja obsługi.” Ryszard Chłopek nie tylko potrafi wymyślić trzy synonimy czasownika wibrować, ale także – co dziś jest umiejętnością rzadką – umieścić w korpusie wiersza metaforę: „śpiewa cięciwa”, „przykuca ciemność” itp.

## **Marta Podgórnik, Pięć opakowań**

Prowokacja polsko-amerykańska

Dwadzieścia lat temu społeczeństwo polskie zachwycało się kolejnymi fetyszami wolności i swobód, szturmem podbijającymi bez ograniczeń żelaznej kurtyny rzeczywistość, w której jeszcze nie tak dawno wszystko miało być wspólne.

Wartości świata zachodniego, których źródło było gdzieś między szybami roponośnymi w stanie Texas, musiały się spodobać. Plakatowy sheriff z dnia 4 czerwca był symbolem sprawiedliwości, która w samo południe zatriumfuje na dzikim wschodzie.

Legenda głosi, że kiedy sheriff z Texasu Cordell Walker rzuci kamieniem w niebo, to powstaje nowa galaktyka. Dlatego nie można mieć pretensji do żelaznej kurtyny, że ustąpiła pod ciężarem parówki w bułce zwanej hotdogiem.

Sama historia recepcji kulinarnej i semantycznej hotdoga na gruncie polskim zasługuje na uwagę. Kategoria „hotdog” długo nie miała swojego polskiego odpowiednika. Jednakże dzięki niedawno powstałej tzw. Nowa Szkoła Tłumaczy Pomostowych Poezji (NSTPP), wszelkie trudności lingwistyczne i semantyczne, z którymi borykali się klasyczni tłumacze odeszły do lamusa historii. Bowiem dzięki użyciu dwóch tzw. języków pomostowych - tj. języka rosyjskiego: жаркая собака i języka niemieckiego: heiss Hund ostatecznie ustalono, że polskim odpowiednikiem kategorii hotdog będzie pojęcie: „mielonego”.

Tłumacze z NSTPP w uzasadnieniu wyboru wskazują na pomost semantyczny, który mielonego (klasyka kulinarnego każdej jadłodajni) z rzeczownikiem „pies”. Kluczowym okazała się tu popularna w latach 70. i aż do końca lat 80. definicja mielonego: „kotlet drugiej kategorii, pies pomielony wraz z budą”.

Klasyczni tłumacze wskazują na istotną słabość tej translacji. Ich zdaniem specjaliści z NSTPP nie uwzględnili w tłumaczeniu ważnego aspektu hotdoga – a mianowicie jego mobilności. W odróżnieniu od mielonego, hotdog jest daniem na wynos z kategorii: fast food.



Wracając do meritum.

Amerykańskie wartości wbijane były w polski grunt podszwami oryginalnych adidasów lub ich zamienników – sofixów. Jeszcze nie było produktów made in China a kowbojki jakoś się nie przyjęły w polskim klimacie.

**Wszyscy jedli hotdogi.**

**Wszyscy pili coca colę.**

Powyższe generalizacje są jedynymi twierdzeniami ogólnymi o wartości logicznej 1. Nie było takiego A – gdzie A oznaczało konkretnego X – które nie napiło się coca coli, nie zjadło przynajmniej jednej parówki w bułce utaplanej w musztardzie.

Nie na wszystkich obszarach amerykańskie wzorce oddziaływały równie skutecznie. Najbardziej zapóźnioną płaszczyzną amerykanizacji okazała się być poezja. Trendy amerykańskie zostały tu oficjalnie docenione w 2008.

W tym roku stosowny minister odpowiedzialny za ogólna kondycję ducha narodu polskiego, wyasygnował środki na stypendium dla Marty Podgórnik – współczesnej i niezwykle utalentowanej polskiej poetki. Podgórnik dzięki ministerialnemu wsparciu, na które de facto złożył się cały naród płacący podatki, stworzyła dzieło niezwykle pt. „Pięć opakowań”.

Ów tomik poetycki, jak na każde dzieło niezwykle przystało, wydany został w wrocławskim Biurze Literackim – oficynie równie niezwyklej jak wszystkie dzieła w niej wydane.

Poezja Podgórnik nawiązuje wprost do klasyki literackiej USA. W tekście rozpoczynającym tomik *Pięć opakowań* świadomie wykorzysta klisze kulturowe zza wielkiej wody:

*Pożegnała się z Matthew i panią Curtis i weszła do budynku  
wraz z Andym, który podskakiwał brykał i machał rączkami,  
porozumiewając się jednocześnie z kolegami. Myśli Daphne  
wciąż krążyły wokół osoby nowego dyrektora. Interesujący  
człowiek. Po pewnym czasie ujrzała go znowu, idącego  
korytarzem ze stosem papierów. Według pani Curtis czytał tu*

**[z największą przyjemnością]**

Inspiracja poetycka ma tu określony rodowód. W konstrukcji obrazów i nastroju Podgórnik explicite nawiązuje do twórczości Danielle Steel. Ta amerykańska poetka w swoim debiutanckim tomiku *Once in Lifetime* (polskie wydanie: Danielle Steel, *Raz w życiu*, tłum. Katarzyna Petecka-Jurek, Bohdan Petecki, Katowice 1994) zdaniem światowej krytyki stworzyła system narracji tasiemcowej. Dodać należy, że twórcą tzw. narracji tasiemcowej był sam Aaron Spelling, producent telewizyjnych seriali tasiemcowych, które zdobywały serca publiczności na całym świecie. Steel jednak była pierwszą poetką, która ten styl narracji i sposób obrazowania użyła w poezji. Oto mała próbka:

*Ten wtorek przejdzie do historii. Nikt dziś nie zrywa kontraktów  
płytowych z takim wdziękiem, w takim stylu, z taką nonszalancją.  
I tak trudno kochać. Życie gwiazdorów rocka bywa równie ciężkie,  
co życie królowych disco, przy czym bywa krótsze.  
Takie myśli gnębiły gitarzystę prowadzącego. Jeszcze wczoraj czuł się  
bardzo dobrze. I nagle ta chałtura na prowincji. Nic nie zapowiadało  
katastrofy. Zaparkowali busika na jedynym w mieście parkingu strzeżonym,  
dwie minuty drogi od hotelu, po czym udali się do hotelowej  
restauracji. Ich humory nie były co prawda szampańskie, bo właśnie  
ogłoszono listę nominacji, a ich, naturalnie, znowu nominowano*

#### [Gwiazdor rocka i królowa disco]

Polska poetka stara się rozwinąć twórczo te zaułki poetyki Danielle Steel, w których ta utknęła. To, co wydawało się być martwym punktem dla Podgórnik stało się punktem wyjścia. I tak w tekście: **Moja siostra urodziła się głucha**, Marta Podgórnik twórczo powiąże koncepcję „prywatnego języka” z metafizyką uczuć. Napisze:

*Jesteśmy bliźniakami i zawsze czułem się z nią bardzo blisko  
związany. To śmieszne ale wypracowaliśmy sobie nasz  
własny, prywatny język. Był to jakiś zupełnie pomyłony język  
migowy, ale dobrze nam służył. Jednak moi rodzice umieścili  
siostrę w szkole. W szkole, jakie istniały trzydzieści lat temu,  
w których pozostawało się do końca życia.*

**[moja siostra urodziła się głucha]**

W bezpośredniej narracji, która przejmuję za amerykańską poetką Marta Podgórnik, oprócz określonego ładunku emocji, zawiera się coś jeszcze. Coś niewerbalizowalnego ale równocześnie coś swojego – coś, co urzeka klasycznego jedermana.

Po raz pierwszy ów niewerbalizowalny fenomen dostrzeżony został przez krytyków w tekście **Lido Dream**, pochodzącym z wspomnianego tu już tomiku *Once in Lifetime* Danielle Steel pisze:

*Pewnego dnia dziedziczka z Nautilus Island pojechała taksówką na lotnisko, skąd wzięła samolot do Lido. Zapewne wtedy ją beczelnie oszukano, bo na miejscu nie uświadczyła bynajmniej atrakcji turystycznych, rozrywek ani szeroko pojętych wód.*

**[Lido Dream]**

Tajemnica niewerbalizowalnego fenomenu polega na tym, że takie fragmenty – jak wyżej cytowany – poddane recepcji w nieskończonej jednostce czasu, niezależnie od rozwoju wiedzy i kultury będą posiadały zawsze taką samą wartość semantyczną.

Marta Podgórnik jako poetka w tomiku *Pięć opakowań* do końca wykorzystuje okazję na nieśmiertelność myśli pierwotnej, która nigdy nie ulegnie zafałszowaniu w ramach krytyki literackiej i dyskusji poetyckiej. W tekście pt. **Samolot lekko** wykaże się umiejętnością opanowaną do perfekcji posługiwania się niewerbalizowalnym fenomenem:

*Samolot lekko podskoczył, dotykając kołami płyty lotniska  
w Los Angeles, i zanim ostatecznie wytracił szybkość i skręcił  
w stronę portu, zdawało się, że nadal szybuje nad betonowym pasem*

**[samolot lekko]**

Pieniądze podatnika zainwestowane w amerykańską polską ducha i kultury dzięki Marcie Podgórnik i jej wydawcy nie poszły na marne. Polska poetka nie jest zwykłą epigonką

Danielle Steel. Przeciwnie, twórczo wykorzystuje niektóre ze schematów jej poetyki, a także stara się stworzyć – w porozumieniu z wydawcą - coś własnego, rodzaj artystycznego novum. Efektem tych starań jest nota na okładce:

**PODCZAS PRAC NAD KSIĄŻKA AUTORKA KORZYSTAŁA ZE STYPENDIUM  
MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO  
ŚRODKI Z FUNDUSZU PROMOCJI TWÓRCZOŚCI.**

## **Adam Pluszka, Zwroty**

Ile kebabów jest w stanie zjeść Adam Wiedemann?

Adam Pluszka znany jest przede wszystkim z tego, że z innym Adamem – Adamem Wiedemannem – chodzi na kebab (Wiedemann, s. 51). W trakcie tych wieczery, w akcie transsubstancjacji, z Pluszką dzieje się rzecz niezwykła. Kiedy przełyka mięsną hostię w bułce z warzywami, polaną sosem czosnkowym, którą przyjmuje z rąk Wiedemanna, Adam Pluszka traci cielesność. Zrzucając powłokę z mięsa, ścięgien i skóry uwalnia swojego ducha, stając się poetą.

Adam Pluszka, jak śpiewał pluszowy klasyk: „pisze wiersze nie od dziś”. Obyty z rymami, poetykami, teorią użycia przerezutni oraz z innymi niezbędnymi pod względem warsztatowym przyborami intelektualnymi z zestawu Młodego Poety, Pluszka Adam tworzy teksty zwyczajnie piękne. Oto jeden z nich:

*bo. kiedy dyktowałbym ci mój  
adres internetowy, zakończyłbym  
tak: małpa.wp.pl  
PI —jak Pluszka bez uszka.*

### **[Gdybym był van Goghciem, wolałbym mieć swoje nazwisko]**

Taka perła, jak większość pereł z tomiku Pluszki pt. *Zwroty*, pewnie spoczywałaby do dziś na dnie któregoś z oceanów, gdyby nie Adam Wiedemann. To on, jako jeden z trzech jurorów konkursu: „Tyska Zima Poetycka - po debiucie” (2002), wśród mułu i gnijących wnętrzości perłopławów literackich, każdego roku oblegających Teatr Mały w Tychach, który w tym czasie zmienia się w Zatokę Mannar, dostrzegł i wyłowił perełkę: Adama Pluszkę podanego w promocji razem z tomiczkiem: *Zwroty*.

Czy to Wiedemann wpadł na Pluszkę, czy może Pluszka na Wiedemanna? Nie wiadomo. Równie dobrze można rozmyślać nad tym co było pierwsze: jako czy kura? Nikt nie wie także kto komu pierwszy fundnął kebaba – czy Pluszka postawił Wiedemannowi czy Wiedemann Pluszce.

Podobnie jak kura, która jest nie do pomyślenia bez jajka; podobnie jak kebab na ostro w ustach Wiedemanna, który jest nie do wyobrażenia bez Pluszki - tak sam Pluszka jako poeta jest nie do przyjęcia bez Wiedemanna. Wie o tym Wiedemann, nie wie o tym kebab, domyśla się kura i ma tego świadomość Adam Pluszka, który specjalnie na tę okazję przygotował wiersz ku czci szanownego jurora:

*Na piaszczystym płaskowyżu Adam  
stał niemal nagi. Na biodrach miał  
przewiązaną przepaskę, (mniej przepaskę,  
bardziej sączek). Jedną rękę wznosił jak  
Jezus, drugą wskazał pępek.  
Powiedział: to jest środek świata.  
Pora na komentarz Sylwii:  
“pępek pępka jest pępkiem”.*

#### **[Sen o Adamie Wiedemannie z komentarzem]**

Trudno się w tej sytuacji dziwić Adamowi, że wybrał Adama. Że kebab jedzony w takim towarzystwie ewoluuje smakowo i estetycznie w kierunku najwykwintniejszej potrawy kuchni francuskiej – to także nie dziwi. Trudno się dziwić kurze, że znosi jajka i jajku, że daje początek kurze. Taki to już bieg rzeczy i porządek natury.

Czytelnik dziwić się może jedynie temu, że dziwi się gdy czyta wiersze Pluszki z tomiku *Zwroty*. Dziwić się temu, że w ogóle takie coś ujrzało światło dzienne w nakładzie 500 egz. i że takie coś właśnie on czyta. Ale tego zdziwienia, gdy tylko zakiełkuje w myślach, powinien się czytelnik wstydzić. Powinien zwiesić głowę, spojrzeć w ziemię. Dostrzec w prochu własne dziwiące się jestestwo i w ramach pokuty odstać trzy godziny na żwirze, na gołe kolana. Popełniając grzech zdziwienia podważa bowiem trafność wyboru samego

Wiedemanna, który nigdy w życiu się nie zdziwił, nawet gdy typował m.in. taki wiersz Pluszki:

*Chusteczką Soft Screen  
przetarłem sobie buty.*

**[I X . Plazma]**

na zwycięzcę w kategorii: „Śląskie Hajku – Tyska Zima Poetycka!”

Związek Wiedemann-Pluszka-Pluszka-Wiedemann jak pokazała historia okazał się być wyjątkowo płodny. Kolejne tomiki / dzieła Adaś Pluszka produkuje ze stałą prędkością: 2 sztuk / rok. Ile ów literacki duet przejada kebabów? Tego nie wiadomo.

## Wioletta Grzegorzewska, Orinoko

Wybaw nas Pani od zła wszelkiego

Siostra Faustyna tak długo pisała i pisała, prowadząc swój *Dzienniczek*, aż w końcu stała się świętą. Nie ma lepszego sposobu na beatyfikację, przynajmniej takiego jeszcze nie wynaleziono na wschód od Odry.

*Dzienniczek* Faustyny Kowalskiej to tysiąc kilkaset stron drobnego druku. Najczęściej pojawiającymi się w nim pojęciami są w kolejności: „Pan”; „Jezu”, „Miłosierdzie”.

Współczesna technika dysponuje środkami, o których dzielna służebnica pańska, w latach 30., nie śniła w swoich najśmielszych wizjach, a które pozwalają nie tylko skrócić drogę ku świętości i sławie, ale uczynić ją łatwą i przyjemną.

Otóż w Redmond wymyślono edytor tekstu Microsoft WORD, którym obecnie posługuje się 1/3 skomputeryzowanych mieszkańców niebieskiej planety. Edytor tekstu - niby prosty program do pisania – posiada przydatną z perspektywy przyszłego świętego/świętej. Mianowicie, po wpisaniu komendy

**=rand(200,99)**

i naciśnięciu klawisza ENTER, program wygeneruje kilkaset stron tekstu, który być może jakościowo i ilościowo nie dorównuje zawartości *Dzienniczka*, ale poddany odpowiedniej edycji: „znajdź” „zastąp” etc., oraz po dobraniu odpowiednich słów kluczowych, zmieni zdanie:

*Pchnąć w tę łódź jeża lub ośm skrzyń fig*

w perłę kultury narodu polskiego.



Oczywiście do beatyfikacji literackiej niezbędna jest też modlitwa, prośba o łaskę oraz odpowiednie żiri. Nie chodzi tu tylko o umiejętność zjadania kebabu na ostro, ale o pokrewieństwo duchowe – pewną wrażliwość, tego rodzaju namiętność, która pojawia się między młodym klerykiem a dojrzałym biskupem, kiedy ci w najintymniejszym odosobnieniu kontemplują własne jestestwa w oczekiwaniu na zbawienie.

Ów rodzaj metafizycznej komunikacji zdarzył się w Teatrze Małym w mieście Tychy. Miejsce to słynie z cudownych zdarzeń. Od lat w serii „po debiucie” wydawane są tam najgorsze teksty. Nie ma się czemu dziwić – taka jest natura cudu. Wszak największy cudotwórca w historii swoje cuda odprawiał nie nad zdrowymi, normalnymi ale nad kalekami i obłąkanymi. Stąd taki kult kalectwa w miejscu cudów.

Wracając jednak do rzeczy. W 2008 r., na konkurs: „Tyska Zima Poetycka – po debiucie”, swoje teksty wysłała Wioletta Grzegorzewska. I to był cud pierwszy.

To, że obok Piotra Sommera i Jerzego Jarniewicza sam Wojciech Bonowicz (który podobnie jak Agnieszka Kuciak, specjalizuje się w różnych wizjach Pana – ostatnio: jako „gardła świata”) zasiadł w żiri – było cudem drugim.

Świętość wymaga trzech cudów. W tym przypadku ostatnim cudem była duchowa dłoń świętej Siostry Faustyny, która poprowadziła pióro laureatki Grzegorzewskiej, kiedy ta pisała swoje konkursowe wiersze.

Metafizyczne linie papilarne Faustyny Kowalskiej odcisnęły się na większości tekstów tomiku *Orinoko*. Na przykład Wioletta Grzegorzewska pisze:

*We mnie wyjąłowione pola słoneczników*

[przemiany]

Kilkadziesiąt lat wcześniej, jej poprzedniczka, w swoim **Dzienniczku** zanotowała refleksję na temat życia wewnętrznego o zbliżonej strukturze syntaktycznej:

*Wszystko, co we mnie dobrego jest*

(s. 1392).

Rozbieżność semantyczna tych fragmentów jest tylko pozorna. Każdy wytrenowany w ramach kanonu wiary katolickiej umysł – a takim z pewnością jest umysł św. Jurora – dostrzeże tu dobrowolną interioryzację podmiotu, który odwraca się od przedmiotowego – ergo: złego - „nieprawda-że-ja”, i zwraca ku prawdzie in natae.

Święta Faustyna i Nagrodzona Wioletta prezentują także wspólny pogląd w tzw. kwestii anielskiej. W twórczości Grzegorzewskiej motyw bogactwo semantyczne archetypu anioła przedstawione zostało póki co w jednym tekście: *Oko waserwagi*.

Anioł Stróż będzie funkcjonował jako dziecięce, naiwne wyobrażenie – jako postać od błahych spraw:

*jako dziecko od pasania krów uciekałem,  
modlić się pod kapliczką do Anioła Stróża,  
by choć raz pozwolił pojechać do Warszawy,  
którą widziałem na obrazie u księdza w Kamyku.*

#### **[Oko waserwagi]**

Będzie też tym, który ocala, chroni od złego, który:

*nie zawiódł do płonącej Warszawy,  
co paliła się jak stodoła*

Faustyna Kowalska, w związku z pewnymi brakami w wykształceniu, potrzebowała fizycznie więcej miejsca niż polska poetka, na przedstawienie własnego wyobrażenia na temat społecznej, duchowej i kulturowej funkcji Anioła. Na stronie dwudziestej *Dzienniczka*, poinformowała – co zrozumiałe – że:

*Ujrzałam Anioła Stróża*

*następnie dodała, że ów anioł:*

*kazał pójść za sobą*

Później zdarzyło się to, co się zwykle w takich sytuacjach zdarza. Czyli:

*W jednej chwili znalazłam się w miejscu mglistym, napelnionym ogniem, a w nim całe mnóstwo dusz cierpiących. Te dusze modlą się bardzo gorąco, ale bez skutku dla siebie, my tylko możemy im przyjść z pomocą. Płomienie, które paliły je, nie dotykały się mnie.*

Ale całe szczęście nic się głównej bohaterce nie stało, bo strzegł jej anioł, który:

*nie odstępował mnie ani na chwilę*

Wykorzystując cudowną ochronę od ognia, główna bohaterka mogła spokojnie wszystko spokojnie poobserwować i nawet porozmawiać z duszami. I pewnie długo pozostałaby w tym miejscu, gdyby nie: „Anioł Stróż”, który: „dał mi znak do wyjścia.”

Nieśmiertelny Duch siostry Faustyny unosi się także w tych fragmentach tekstów Grzegorzewskiej, w której będzie opisywała zewnętrzne objawy świętości.

W jednym z tekstów: Ryba u Franciszkanów, Grzegorzewska – składając literacki hołd mistrzowi-jurorowi Bonowiczowi – nawiąże implicite do jego kategorii boskiego „gardła”.  
Napisze:

*Przed godzinkami zakonnicy w brązowych habitach  
posypują piaskiem gardła drewnianych wychodków*

### **[Ryba u Franciszkanów]**

W innym tekście poetka opíše sierpniową pielgrzymkę na Jasną Górę. A opis ten będzie tak ciekawy, że czytać będzie się go chciało w nieskończoność:

*Sierpniowa pielgrzymka na Jasną Górę,  
kobiety podmywają się w bajorku za drzewami  
Ministrant, który niesie na plecach jako pokutę  
zielony sztandar Parafii Świętego Antoniego....*

## [postój]

Tak się bardzo czytać chce, że aż oczu nie można oderwać. Zapiera dech w piersiach. Czytelnik dusi się, kona psychicznie a w przerwach zadaje sobie pytania:

„czy wytrwa?”

„czy dojdzie?”

„czy mocno krwawią otarcia stóp?”

I kiedy czytelnicze rozterki urastają do rangi pęcherza na pielgrzymującej od czterdziestu dni pięcie, wypełnionego różowawą cieczą; kiedy wewnętrzny ból poznania staje się niemożliwy do zniesienia - Wioletta Grzegorzewska wprawnym i precyzyjnym ruchem poetyckiego skalpela przynosi ulgę. W tekście o wymownym tytule *Obraz nadchodzi* pisze:

*Wszystko lśni, gdy Obraz wchodzi z sanktuarium,  
pobrudzone woskiem atłasy opierają się o próg,*

## [Obraz nadchodzi]

I oto stało się. Ofiara została spełniona. Dopełniło się – chciałoby się dodać. Oto poetka jednocząc się z „Obrazem” przez duże „O” odnalazła drogę nie tylko do Samego Stwórcy – przez duże „SS” – ale pojednała się duchowo ze swoją duchową siostrą – Faustyną Kowalską, która na stronie 161., *Dzienniczka* zapisała taki oto wiersz:

*Maryjo, Niepokalana Dziewico,  
Czysty kryształ dla serca mojego,  
Tyś mocy moja, o silna kotwico,  
Tyś tarczą i obroną dla serca słabego.*

*Maryjo, Tyś czysta i niezrównana,  
dziewico i Matko zarazem,  
Tyś piękna jak słońce, niczym nie zmazana,  
Nic nie pójdzie w porównanie z Twojej duszy obrazem*

Wioletta Grzegorzewska nie zapisała jeszcze tysiąca stron tekstu. Zapewne ambicja i wewnętrzny upór doskonalony w palących promieniach słońca, w strugach deszczu i nocach spędzanych pod gołym niebem w trakcie corocznych pielgrzymek uchroni ją przed pokusą użycia szatańskiej funkcji WORD: =rand(200,99). Ale gdyby nawet – co zrozumiałe – zachwiała się i upadła w tej drodze ku świętości, zawsze liczyć może na zbrojne w wiarę, żelazne ramię Wojciecha Bonowicza i jeżeli taka potrzeba: na wspólną mszę w przytulnym kościółku.

## Krzysztof Kleszcz, E

E, E, E, E, E, E, E

Każde nazwisko posiada właściwą sobie magię, która na pewnym etapie życia daje o sobie znać. Czasami jedno, niewinne tzw. nieme „h” w nazwisku potrafi odmienić los młodzieńca, który zakładając przydługie garnitury zacznie zmieniać się kamerdynera o nienaganych manierach, który nigdy nie zawstydzi przed gośćmi Pana domu, w którym służy.

Są też ludzie skazani. Przekłęci przez ród, z którego się wywodzą. Ludzie, których nazwisko nie tylko zostało zalaminowane w dowodach osobistych, nie tylko wydrukowane na każdym druku adresowym. Są takie nazwiska, które determinują każdą sekundę życia, każdy gest czy dzieło – dosłownie wszystko.

Takie fatum dotknęło niejaką Katarzynę Krowę, która nie tylko nie zdobyła Nobla, nie tylko nie dostała literackiej Nike. Mało tego – Katarzyna Krowa, znana bardziej jako Kaśka Krowa tak bardzo uwierzyła w swoje przeznaczenie wpisane w nazwisko (oczywiście nie obyło się w tym przypadku bez pomocy rówieśników, którzy od najmłodszych lat, właściwie od momentu, w którym Katarzyna Krowa poznała uroki komunikacji werbalnej, dopingowali ją w samopoznaniu, w odkryciu swojego miejsca w świecie) że edukację zakończyła na siódmej klasie szkoły podstawowej. Chwilę później urodziła dziewczynkę. Bardzo ładną, którą po nieznanym ojcu odziedziczyła kolor włosów, a po mamusi nazwisko. Profesji nie zdążyła odziedziczyć, bo PGR-y za szybko padły. Gdyby Wojtyła wstrzymał się z pielgrzymką do Polski o kilka lat – a przynajmniej o cztery – Basia (bo tak było jej na imię) przejęłaby zydel i emaliowane wiadro po mamusi i do emerytury dzielnie dołaby krowy w PGR. Niestety reformy gospodarcze Balcerowicz zaczął wcielać w życie, kiedy Basia chodziła do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Jeszcze wtedy chciała być taka jak mama – doczekać siódmej klasy, następnie upić się na szkolnej dyskotecie do nieprzytomności i skutkiem czego urodzić kolejną Krowę w rodzinie (Basia do dziś jest przekonana, że dzieci robią się w brzuchach od picia wódki). Niestety marzenia Barbary Krowy legły w gruzach wraz z ostatnim pegeerem.

Nie oznacza to, że coś się w jej życiu zmieniło. Barbara Krowa podobnie jak jej mama, babcia i wszyscy ludzie na tej planecie przekleci przez nazwisko Krowa, nigdy nie dostała Nobla, nie wręczono jej też statuetki Nike na uroczystej gali, którą transmitowałyby telewizja polska. Nikt tej Krowie, jak i innym Krowom niczego w życiu nie zazdrościł. I tak będzie do końca jej dni. Ale Basia tym różni się do mamy, że postanowiła skończyć z krowim przekleństwem raz na zawsze. Pozostając do tej pory panienką (kto by tam chciał się spotykać z krową? jaki chłopak zdecydowałby się w trakcie niedzielnego obiadu przedstawić ją rodzicom mówiąc: „Mamo, tato, oto moja Krowa”. A nawet gdyby taki się znalazł, to czy jej poczucie godności zniosłoby widok krztuszących się ze śmiechu rodziców przyszłego męża, gdy ci parszczą makaronem z rosółu po słowach: „...moja Krowa”?) Basia przysięgła sobie, że nie wypije ani grama wódki by nie zejść w ciążę. Ma nadzieję, że wraz z nią pogrzebane zostanie fatum rodu Krów.

Skąd mogła Basia wiedzieć o prawach historycznych, o równowadze w świecie, o tym, że jej śmierć niczego nie zmieni. Bo kiedy ona jako bezpotomna, składając ręce na piersiach będzie ostatni raz zamykała oczy, umierając bez strachu i z uśmiechem na twarzy, to gdzieś w kraju na wydziale położniczym któregoś ze szpitali będzie rodził się Jacek Koń. I ten Koń także, jak wszystkie Konie w Końskim rodzie, nigdy nie dostanie Nobla czy Nike. Nigdy dostanie całusa od Grażyny Torbickiej. Będzie za to całe swoje życie tyrał, jak przysłowiowy koń a jedyne co może mu się najlepszego w tym codziennym kieracie przytrafić to przebłysk świadomości, że Krowy mają tak samo źle w życiu jak Konie.

Ale wśród ludzi z definicji skazanych na życiową porażkę znajdują się tacy, którzy nigdy nie uwierzyli w to, kim są. Zamiast tego wymyślili sobie projekcję, rodzaj świata, którego każdy element poprzedzony jest wyrażeniem: „chciałbym, aby..”. Wszystko w tym świecie jest bez skazy, jest zwyczajnie piękne – przynajmniej na tyle, na ile piękne mogą być marzenia autorów światów, w ramach których każdorazowo piękno definiowane jest od nowa. W owym świecie każdy może być każdym a jedynym ograniczeniem chcenia jest tylko wyobraźnia chcącego. Tu nie obowiązuje prawo ciężenia, które trzymało przy ziemi Katarzynę Krowę, jej córkę i Jacka Konia. W każdej chwili – zależnej od chcenia – może tak się stać, że: krowie wyrosną skrzydła, koń zacznie tańczyć w balecie a kleszcz zacznie pisać wiersze. I ten ostatni przypadek wydaje się być szczególnie ciekawy.

Krzysztof Kleszcz nie uwierzył w swoje przeznaczenie. Wbrew naturze, która zwykle przypada w udziale wszystkim kleszczom na świecie on zapragnął być poetą. Na zasadzie chcenia stworzył sobie świat błyskających fleszy, obiektywów kamer, wywiadów do VIVY, Twojego Stylu itp. Wyobraził sobie, że oto on – polski poeta, ubrany cały na czarno, z wypielegnowanymi paznokietkami, wyglansowanymi bucikami przechadza się po czerwonym dywanie rozdając na lewo i prawo podpisy, obdzielając co bardziej urocze fanki zalotnym spojrzeniem. Wyobraził sobie ciepło i subtelny zapach wydobywający się spod pach Grażyny Torbickiej, gdy ta obejmuje go i całuje w policzek, gratulując Nike. Wyobraził sobie maila od redaktorów z wydawnictwa ZNAK o treści: „Szanowny Panie, proszę wysłać nam cokolwiek. Wydrukujemy niezwłocznie. Nakład taki jak kiedyś: 30.000 + 250 egz. Proszę zażyczyć sobie honorarium – zgodzimy się na każdą sumę! Pozdrawiamy”.

Innymi słowy: Krzysztof Kleszcz wyobraził sobie to wszystko, o czym żaden potomek rodu Kleszczy do tej pory nie śnił. I zapewne do końca życia Krzysztof konstruuąc swój chcęświat opalałby się w świetle fleszy, wylegiwał na miękkich czerwonych dywanach, na których rozdzwiewczałby wszystkie swoje fanki, prowadząc w przerwach niezmiernie ciekawe rozmowy o kondycji polskiej kultury z Grażyną Torbicką. Ale stało się coś, co się zwykle nie dzieje – a mianowicie: chcenie zaczęło zmieniać się w istnienie. Wbrew wszelkim zasadom znanych ontologii: marzenia zaczęły tracić status marzeń. A nie ma nic gorszego niż spełniające się marzenia, bo wówczas człowiek traci to, co najcenniejsze – i tak było także w tym przypadku. A dokładniej: w roku 2008, w którym wydany został tomiczek poetycki Krzysztofa Kleszcza pod wiele mówiącym tytułem – tytułem, który świetnie zdaje relację z kondycji twórczej i intelektualnej autora – tomik *E*.

O ile o tytule prezentowanego tomiku Krzysztofa Kleszcza można powiedzieć tylko tyle, że jest – tak o treści można powiedzieć tylko tyle, że w tym miejscu nie występuje.

Oto pierwszy tekst z tomiku:

*Płożę się, a płożąc jakbym muskał ziemię,  
stąd jej dreszcz, trzęsienie, zapadanie, picie  
wody łapczywe, aż ogrodnik sypie  
białe wapno, gładzi, usypuje grządkę,  
krząta się i dziwi, dziwi się i kawę*



*pije - patrząc, a patrzy pod światło.*

### [POCZĄTEK]

Klasyczne pytanie mordercy lirycznego w tej sytuacji – i w każdej innej podobnej – brzmiałoby: „co poeta chciał przez to powiedzieć?” Wyobrażam sobie także artystę-poetę, który ogłuszony tak brutalnym pytaniem zamiast o treści i estetyce konkretnego tekstu, opowiadałby o zerowej wrażliwości u odbiorcy.

Założmy jednak że istnieje jakaś subtelna, wrażliwościowa nić, cieńsza niż ta, którą odwija się z kokonu jedwabnika, delikatniejsza niż babie lata – założmy dodatkowo, że owa nitka łączy: „płożenie się”; „muskanie ziemi” i „dreszcze”. Niech przez chwilę istnieje taka machina intelektualna, która zrozumie sens słów i odkryje w nich inne niż materialne znaczenie:

*ogrodnik sypie*

*białe wapno, gładzi, usypuje grządkę,*

*krząta się i dziwi, dziwi się i kawę*

*pije - patrząc, a patrzy pod światło.*

Założmy też, że istnieje taki rodzaj świata, w którym słowa:

(wersja: **ABCDE** – oryginał)

*Przeproś się. Po deszczu na słońcu zrób wdech.*

*Płyn aż do miejsca, gdzie rozpoznasz refren.*

*Zalej wrzątkiem dwie łyżeczki, szukaj słów.*

*Zamiast bywać, zostań, bo tylko okrążasz miasto,*

*Odmrażasz łokieć - nie tam trzeba poczuć drogę.*

### [DO CIEBIE, SIEBIE]

będą układały się w jakąś stabilną materię, o ustalonej konsystencji. Wyobraźmy sobie, że istnieje taki świat, w którym nie został poczęty Roman Kaźmierski i że ów Roman nigdy nie

stworzył osobliwej poetyki – i wyobraźmy sobie także że tej poetyki Kaźmierskiego nie odgapił Krzysztof Kleszcz:

(wersja: **EDCBA**)

*odmrażasz łokieć - nie tam trzeba poczuć drogę.  
Zamiast bywać, zostań, bo tylko okrążasz miasto,  
Zalej wrzątkiem dwie łyżeczki, szukaj słów.  
Płyn aż do miejsca, gdzie rozpoznasz refren.  
Przepróś się. Po deszczu na słońcu zrób wdech.*

(wersja: **DEABC**)

*Płyn aż do miejsca, gdzie rozpoznasz refren.  
Przepróś się. Po deszczu na słońcu zrób wdech.  
odmrażasz łokieć - nie tam trzeba poczuć drogę.  
Zamiast bywać, zostań, bo tylko okrążasz miasto,  
Zalej wrzątkiem dwie łyżeczki, szukaj słów.*

Ale siła wyobraźni blednie w starciu z materią i jej prawami. Fizyka – podobnie jak fizjologia – nigdy nie daje o sobie zapomnieć. Tak się dzieje i w tym przypadku. Na *E* ciąży przekleństwo nazwiska autora. Co rusz w tomiku pojawiają się wątki leśno-łąkowe – czyli otoczenie bliskie wszystkim malutkim krwiopijcom świata, odpowiedzialnym za boreliozę. Oprócz „muskania ziemi” odnajdziemy u Krzysztofa m.in. kleszczowe wątki mieszkaniowe:

*przepraszam, nie moja gałąź.*

[**POCZĄTEK**]

*Myślałem - zły przechadza się po łąkach*

[**ORNITOCORIA**]

*Chciałem wracać w objęcia chłodu, odbierać*

*pokłony traw, potem w górę,*

**[latanie]**

Porada doktora Trojanowskiego:

Czy to w trawie, czy na gałęzi ten rodzaj pajęczaka zawsze jest niebezpieczny. Zawsze aktywny, zawsze gotowy, zawsze przyczajony - i nawet off w sprayu nie pomoże. Na szczęście są antybiotyki, chociaż w przypadku ukąszenia przez Ę zatrucie mózgu nie jest szczególnie groźne. Kuracja nie wymaga dwudziestoczworgodzinnej lektury tekstów Goethego - tu wystarczy komiks może nie Andreasa, ale pięciominutowe oglądanie obrazków Christy powinno przynieść ulgę.

Koniec porady doktora Trojanowskiego

U Krzysztofa znajdziemy też inne opisy. Czego dotyczą? Nie wiadomo. Oto przykłady:

*Tynki klasztoru chłoną nasze westchnienia.*

*Trąby obwieszczają święto Archaniola.*

*Stragany pełne glinianych garnków i koszy*

*z wikliny. Chodzimy wkoło trochę śmieszni*

*w tłumie dźwigającym maselniczki, drewniane łychy.*

*Robimy zdjęcia. Szukamy rzeczy, które są nam*

*potrzebne: na przykład kwiaty z kolorowego papieru.*

**(ODPUST)**

O ile nie można mieć wątpliwości co do kleszczowych westchnień, które wchłaniane są w klasztorne tynki. Tak sens istnienia bezpośredniej relacji przechadzki między straganami precelkami, kapiszonowcami, cepeliowymi wyrobami wydaje się nie być tak oczywisty co właściwości akustyczne tynków wapiennych zabytkowych klasztorów. Równie dobrze można spisać opowieść Piotra Kraśko, który w chwili słabości opowiada o procedurze golenia. Jakość estetyczna tego opisu w konfrontacji z relacją eskapady odpustowej byłaby co najmniej taka sama jeżeli nie lepsza.

Ale jakości nie można wymagać od autora tomiku *E*. Zanim Krzysztof Kleszcz poznał tajemnicę swego przeznaczenia, musiał kilka razy na poziomie mentalnym odbyć indywidualną pielgrzymkę od swojego poczucia do śmierci. I oto kolejny fragment. Tym razem relacja o śmierci (nie można przecież być poetą nie mając na swym koncie przynajmniej jednego tekstu o śmierci):

*Pragnienie niemożliwego zaczyna się od radia,  
żeby tak przewinąć piosenkę. Kubek odwraca ucho,  
roślina w doniczce pnie się byle dalej od głośnika.  
Z całej siły naciskam hamulec, ale nie działają  
klocki, linki. Po monitorach przeskakują liczby,  
zmieniają się kursy walut. Głowa schowana w golf,  
a golf w szare miasto. Rozpinam za duży parasol -  
rozśmieszam deszcz. Czekam, aż w zabłoconych butach  
przyjdzie czas.*

#### **(PRZED CZASEM)**

Lektura i refleksja nad *E* Krzysztofa Kleszcza powinna skutkować ogólnonarodową debatą nad potrzebą istnienia ministerialnego funduszu, z którego można by finansować auta z poduszkami powietrznymi dla poetów ew. dla kandydatów na poetów (w wersji przynajmniej dla kierowcy). Kto wie jak potoczyłoby się życie Krzysztofa Kleszcza, gdyby na końcu swej wewnętrznej pielgrzymki ujrzał siebie nie ginącego w rozklekotanym golfie, ale umierającego gdzieś w luksusowym hospicjum, otoczonego przez stado przepięknych negroazjatek. Być może estetyka seksownych kobiecych ciał, odzianych w skąpe mundurki pielęgniarek, jędrnych cycków, tyłków w gruszkę zawładnęłaby jego umysłem do tego stopnia, że nigdy w życiu nie napisałby ani jednego wiersza. Jakiż to pożytek byłby dla kultury a mała strata dla ministerstwa, które i tak w skali roku przepierdała grube bańki na tonery do drukarek.

## **Bohdan Sławiński, Sztuńce do glist**

Wszystkie glisty myszy zjadły

Stowarzyszenie Literackie Im. K. K. Baczyńskiego, w 2008 r., postanowiło wydać trochę forsy. I wydało. Ale żeby forsa nie poszła na wino, wódkę czy nudną nagrodę, tym razem postanowiono zagospodarować w dość oryginalny sposób pewną część rezerw. Sfinansowano w związku z tym poecie wydanie tomika wierszy o myszach. Mowa o Bohdanie Sławińskim i jego dziele pt. *Sztuńce do glist*.

Mysz w tym dziele pojawia się stosunkowo szybko. Stwór ten zaskakuje estetycznie od pierwszego tekstu. Sławiński bez zbędnych – zwykle nudnych wprowadzeń – serwuje mysz naga: taką jaką jest z natury i w naturze. Pisze:

*piszczą w norach myszy*

*ale ciężko*

(\*\*\*)

Dlaczego ciężko piszczą? W tym czasie, kiedy czytelnik próbuje odgadnąć przyczyn mysie zadyszki, Sławiński podaje takie oto wyjaśnienie. Myszy dyszą ponieważ:

*jeszcze chciałyby te trzy takty mysie grać*

(\*\*\*)

Uważni obserwatorzy eksperymentów profesora T'Alenta wiedzą, że stworzył on w atmosferze planety Neumy rasę białych myszek, niezwykle utalentowanych muzycznie. Dlatego ów motyw myszy-pianistki u Sławińskiego nie zaskakuje.

W tym wierszu, oprócz kilku myszy stojących w kolejce do fortepianu by sobie pograć, umieszczona została – co warto odnotować - „*mysia mumia*”. Robi ona pewnie za dekorację pomieszczenia, w której stoi mysi STEINWAY.

Kolejna mysz – zgodnie z prasłowiańską tradycją – powinna być zaczajona na wieży i czekać na Popiela i jego żonę Hilderykę. Autor ma świadomość tradycji, w której się wychował i której zawdzięcza natchnienie, dlatego w jednym z tekstów odwoła się do słowiańskiej legendy o królu, którego zjadły myszy. Swój hołd poetycki zredukuje do pigułki:

*wieża pachnie myszą*

(\*\*\*)

Jako prawdziwy Polak z dziada pradiada, poeta wie co myszy lubią robić najbardziej – poza oczywiście spędzaniem czasu na wieży w oczekiwaniu na Popiela.

W tekście \*\*\* (na uwagę zasługuje innowacyjność poety w zakresie doboru tytułów dla swoich tekstów. Trzy gwiazdeczki z łatwością skojarzyć można z charakterystycznymi, bobkowatymi mysimi odchodami) poeta zda dokładną relację z mysich pasji. Napisze:

*szeleszczą w zbożu myszy*

(\*\*\*)

Polemika z tym stwierdzeniem jest tak samo niemożliwa jak rozstrzygnięcie tego sądu w ramach znanych gatunkowi ludzkiemu estetyk. Ale kto wie, być może istnieje mysia estetyka, o której kiedyś się dowiemy.

Wracając do poetyckiej opowieści o gryzoniach i ich upodobaniach.

Poeta wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniom krytyki literackiej, która nieustannie domaga się nowych obrazowań, świeżych dykcji – która chciałaby się zaskakiwać przynajmniej raz w tygodniu – napisał dziwne wersy. Mianowicie:

*miedza a na niej grusza*

*i zboże z czterech stron*

*nadziane myszą*

(\*\*\*)

Historia rozwoju smaku i sztuki kuchennej pewnie zapisała na jednej ze swoich wcześniejszych kart relację z eksperymentu faszerowania myszy zbożem a następnie opiekania jej w temperaturze 180 C. Jednakże dzisiaj nieznane są wyniki tego eksperymentu kulinarnego, dlatego cała nadzieja w poecie Sławińskim. Zmierza jak się wydaje w dobrym kierunku.

Bohdan Sławiński świadomy pewnych niedogodności związanych z brakiem materiału empirycznego, na podstawie którego można dyskutować o jego tekstach stara się ułatwić dekonstrukcję hermeneutyczną „zboża faszerowanego myszą” wprowadzając do tekstu fragment:

*oczy kwitną na kłosach  
na myszach listki*

(\*\*\*)

Teraz już nikt nie może mieć wątpliwości, że nie chodzi tu o zwykłe myszy ale myszy faszerowane zbożem a następnie owinięte liśćmi laurowymi i tak zapiekane.

O tym, że mysz Sławińskiego jest stworzeniem niezwykłym (że bliżej jej do fantastycznej Motomyszy z Marsa niżli do zwykłej myszy polnej) świadczy fragment kolejnego tekstu, w którym poeta opisuje mysie mieszkanie.

Każdy, kto przynajmniej raz w życiu widział bajkę o Kreciku, wie, że krecik ma kumpelkę – myszkę. I że ona, podobnie jak krecik, mieszka w norce. Poeta Bohdan Sławiński nie tyle polemizuje z ustaloną tradycją interpretacyjną w tej kwestii, ale ucieka się do obrazoburczej prowokacji. Licząc na zbiorowy protest fanów Zdenka Milera, w oczekiwaniu na ogólnościatową dyskusję zredefiniował pojęcie mysiej nory. Napisał:

*nory myszy wodne trumny  
ziemi naczynia kapilarne*

(\*\*\*)

Od banicji społecznej i obyczajowej uchroniło Sławińskiego tylko to, że Minister Rolnictwa zainteresowany użytkową funkcją myszy, którą zaproponował polski poeta, wdrożył globalny system walki z brakiem wody pitnej. Od roku polskie myszy eksportowane są do krajów trzeciego świata i tam za grube dolary przerabiają pustynie w aquaparki.

Oczywiście poeta nie byłby poetą, gdyby nie zdawał sobie sprawy z wagi swoich słów. Gdyby nie miał świadomości sposobu wykorzystania własnych pomysłów. Tak jest też w tym przypadku. Bohdan Sławiński wiedział, że jego myszy zrobią karierę na Saharze. Wiedział, że pomysł z norami zadziała. Dlatego kilkanaście wersów niżej napisał:

*a w ziemi myszy  
porastają rosą  
uchylam różę za piskiem myszy  
chrzęstem szelestem  
podziemne pulsowanie krwi  
do dziury mysza, do dziury*

(\*\*\*)

Specjaliści – tym razem dla odmiany z Ministerstwa Zdrowia - zastanawiają się, jakie to jeszcze zastosowanie dla szarych gryzoni wymyślił Sławiński, a które wcześniej przeoczono. Jaki jest związek myszy z krwią? Czy aby przypadkiem nie można odpowiednio zmodyfikowanej myszy wpuścić do żyły, by oczyszczała arterie z cholesterolowych złożeń?

*Gdzieś tak w połowie tomiku ponownie rozlega się:*

*pisk myszy*

(\*\*\*)



I nawet najbardziej romantyczna sceneria nie może się obejść bez udziału szarego stworzonka. Tam, gdzie czytelnik oczekiwałby jakiegoś kobiecego łona, opisu sterczącego sutka - między "obłym księżycem" a "cieniami na śniegu" nagle pojawia się mysz:

*pokłuły powietrze  
zważone trawy  
przetoczył się obły księżyc  
jeszcze mysz cienie  
śnieg prują  
w szklistych sieciach jeżyn  
już kwitnie rdzawy księżyc*

(\*\*\*)

Ale żeby nie przedłużać. Mysz w poezji Sławińskiego występuje jako: mysz wymoszczona (*moszczą się myszy w chrobotach nor*) ale mysz może być też zapuszkowana (*myszy w puszkach muszli*) Myszą można także zwyczajnie po ludzku wzgardzić (*gardząc myszą*) Myszy w tekstach Sławińskiego – rzadko bo rzadko - ale oddają się także swoim naturalnym czynnością. Na przykład:

*piszczą w korzeniach myszy*

(\*\*\*)

Ale na końcu i tak najważniejsze jest to, że:

*że lisy pójda do piekła  
do nieba myszy*

(\*\*\*)

Nie ma to jak dobry happy end.

Mysz w tomiku *Sztuńce do glist* wystąpiła 21 razy. Co w przeliczeniu na niecałe 40 wierszy daje średnio jakieś 0,5 myszy / wiersz. Jak na tomik nie jest zły wynik.

## Krzysztof Jaworski, *Drżące przyjemności*

Najnowsza Historia Polski (1988-2008)

Wydawnictwo, specjalizujące się w robieniu czegoś z niczego – Biuro Literackie – w 2008 r., wydało wierszyki Krzysztofa Jaworskiego. Żeby było ciekawiej umieszczone w tomie *Drżące przyjemności* teksty powstawały między 1988 a 2008 rokiem. Przedział dwudziestu lat w tym przypadku to: upadek bloku sowieckiego, demolka muru berlińskiego, to pałowanie opozycji, to okrągły stół, to Lech Wałęsa, to rewolucja technologiczna, to wojna w Iraku i żeby się nie rozdrabniać: to globalny triumf demokracji rozumianej po amerykańsku.

Takiego materiału empirycznego, takich wstrząsów świadomościowych nie dostarczyła żadna epoka żadnemu do tej pory poecie (może za wyjątkiem: Miłosza, Herberta, etc., etc.). Krzysztof Jaworski – żyjąc i tworząc w latach 1988-2008 - dostał od losu unikalny dar: duszę poety w trudnych czasach.

Tutaj nie można niczego zepsuć. Odpowiednia wrażliwość + sterta papieru + coś do pisania = dzieła nagradzane Noblami we wszystkich kategoriach. Nie można zepsuć. Nie można. No właśnie, nie można.

Trudno na podstawie *Drżących przyjemności* zrekonstruować ewolucję wrażliwości Krzysztofa Jaworskiego. Teksty ułożone zostały niechronologicznie. Raz jest wiersz z 1991 r., a raz z grudnia 1988 r.. Czytelnik musi się natrudzić by zrekonstruować wysiłek estetyczny poety, który przeżywa na wszystkich płaszczyznach zmianę ustrojową. Jednak mimo utrudnień warto spróbować prześledzić drogę poety od roku 1988 do 2008.

Jest rok 1988. Ostatni funkcjonariusz ORMÓ zakopuje głęboko w ogródku gumową pałkę, odznakę i pas. Wszyscy w kraju wiedzą, kto to taki jest Lech Wałęsa i każdy chce należeć do SOLIDARNOŚCI.

Poeta Jaworski nie pozostaje obojętny na te okoliczności. Pograżony w szale twórczym, jednocząc się ze wszystkimi internowanymi, odczuwają synaptycznie rozterki ormowca pisze:

*masz fatalne imię do wiersza powiedziałem  
przynajmniej ściągnij sweter żeby coś się działo  
i jakoś ruszemy z tą fabułą najważniejsze  
to dobrze zacząć a ja z reguły zaczynam  
dobrze z oczu rąk i ust jestem  
naprawdę bardzo podobny  
do matki ale z daleka i tak wyglądam  
jak ojciec wiem sporo o śmierci ale nic zgoła  
o rozebranych kobietach ja nie piszę wierszy  
dziecino ja je rodzę*

### **[Ubywanie]**

Poeta świadomy reżimowych zagrożeń ukrył przed szalejącą cenzurą, która posłuszna tajnej dyrektywie Kiszczaka tłumiła rewolucję intelektualną w zarodku, przekaz. Dzisiaj wiemy, że pod pojęciem „wiersza” poeci tamtego okresu przemycali do obiegu intelektualnego kategorię „władzy”. Poeta pisząc słowo: „wiersz” pisał o „władzy”. Cenzorzy nawet, gdy wiedzieli o tym przemytniczym procederze, nie ingerowali, chociaż tekst po odszyfrowaniu mógł być zgubny dla ideologii panowania klasy robotniczej. W tym przypadku:

*masz fatalne imię do władzy powiedziałem  
przynajmniej ściągnij sweter żeby coś się działo  
i jakoś ruszemy ...*

W tym tekście Jaworskiego jest wszystko to, o czym mógł zamarzyć opozycjonista. Od bezczelnej krytyki władzy (jeszcze w latach 50. za tekst: „*masz fatalne imię do władzy powiedziałem*” poeta zostałby stracony), przez poruszenie kwestii gospodarczych (udane dzięki wykorzystaniu partykuły „*przynajmniej*” nawiązanie do kryzysu odzieżowego z lat 70.), do optymistycznej odezwy do udręczonej od komunistycznego jarzma części narodu: „*i jakoś ruszemy*”.

W świecie tętniącej wolności i swobód trudno jest sobie wyobrazić skutki oddziaływania tego tekstu. Wiersz Jaworskiego Ubywanie adresowany był do wszystkich ubeków (konsonans między ubywaniem a ubecją pozwala ściśle określić adresatów odezwy poety oraz zrekonstruować przesłanie jako: „*Ubywaj Ubeku*”), do działaczy, do pierwszych sekretarzy. Był poetycką krytyką czasu. Ale był też pocieszeniem. Dodawał otuchy „*jakoś ruszemy*”.

1990 r. Wałęsa przeskoczył wszystko, co miał do przeskoczenia. Ubecy posłuszni nakazowi poety ubyli. W kraju zrobiło się bardzo amerykańsko. Amerykańsko zrobiło się także w tekstach Jaworskiego. Zaczyna pisać teksty długie jak *Przeminęło z wiatrem*. Jeden z nich: *Shelley tonący* zaczyna się tak:

*Shelley, jak kot, wypada za burtę.  
To tylko szkic. Spróbujcie sobie wyobrazić.  
Spróbujcie wczuć się w sytuację. Albo:*

A kończy tak:

*Skąd ty na to wszystko bierzesz czas, Shelley? - dziwi się  
Mary i marszczy nos.  
Och - mówi Shelley i marszczy nos - zawsze miałem go mnóstwo.  
Twarz w mydlinach, największe serce na świecie.  
Życie wymyka mu się z rąk. Jak mydło.  
Wreszcie!*

Między początkiem a końcem opowieści o *Shelleyu* jest kilka stron tekstu, w którym mowa jest o *Baskervillach*, o *Miltonie*, a oś akcji to pogawędka *Mary* z *Mary*.

Przyznać należy, że poeta umiejętnie wpisał się w nurt przesiąkania poetyckiego zachodem. Onegdaj przesiąkano wschodem: Majakowskim itp., po 90 przesiąkać wypada tradycją literacką z zachodu.

W 1994 r. społeczeństwo polskie wybrało się zbiorowo na bezrobocie. Bieda aż piszczy. Większość nawet ma nadzieję, że wrócą stare dobre czasy. SLD notuje wzrost popularności. Dawni towarzysze wracają do łask. Praca staje się towarem rzadkim. A najwięcej szczęścia

mają ci, którzy jeżdżą na fuchy do Niemiec. Zarabiają marki, dużo marek a to przecież w przeliczeniu na polskie stanowi w chuj złotych. Poeta Jaworski odczuwając ból egzystencjalny z powodu braku dobrobytu, albo też w poszukiwaniu twórczego przecież bólu egzystencjalnego, który ustąpił po upadku potwora komunistycznego wybrał się na roboty do reichu. Oto fragment relacji z pobytu:

*Rzuciłem ziemię skąd mój ród, co do mowy  
to też, ani me  
ani be. Pokazali mi  
muzeum, pokazali mi kościół.  
Nie chodziłem pijany,  
nie kradłem po sklepach.  
Wszyscy tam mieli mnie chyba  
za chorego umysłowo?  
To bardzo piękny kraj, może  
i dorobiłbym się na czyszczeniu wychodków...*

**[kameraden]**

Nasylenie emocjonalne oraz intymny ładunek nie pozwala komentować tego tekstu, który w niektórych kręgach uznawany jest za relikwię polskiej emigracji zarobkowej.

W 1997 r. Polskę zalewa wielka woda. Są ofiary. Ale na szczęście dla kultury i duchowości narodu poeta dalej zarabia dewizy na obczyźnie - daleko od zagrożenia. Tym razem pije. W tekście z tego okresu pisze:

*W dziewięćdziesiątym drugim, w siedemdziesiąte piąte  
urodziny Roberta Mitchuma, a wiecie do kogo  
i w jakim filmie dobierał się Robert  
Mitchum!, piliśmy z Dirkiem 50 procentową  
wódkę z Polski, każda okazja jest dobra, aż tu nagle  
wódka się skończyła, wszystko ma swoje granice.*

...

**[Na urodziny przyjaciela]**

Tęsknota za tym co polskie po tylu latach pobytu na emigracji jest zrozumiała. Na uwagę zasługuje ewolucja podmiotu lirycznego. Jego degeneracja od: „*nie chodziłem pijany*” (tekst z 1994) do: „*piliśmy z Dirkiem 50 procentową wódkę z polski*”.

Pod koniec lat 90. poeta wraca z emigracji. Pograżony w niemocy twórczej postanowi zapisać się na jakieś fajne studia. Oczywiście wybiera filozofię. Na wstępie do filozofii przeczyta trochę z Platona, trochę z Arystotelesa. Nauczy się też, że ładne dziewczyny są wyjątkowo czułe na filozoficzne opowiadki przy piwie. Że na dźwięk słowa: egzystencjalizm, Sartre, metafizyka itp., zmieniają się w nimfomatyczne potwory ssąco-ciągące. Poeta postanowił skanalizować w wierszach ową jakże ważną obserwację o charakterze socjologicznym. Napisał:

*Platon i Arystoteles.*

*Takie imiona nadałem wczoraj twoim wielkim piersiom.*

*Niepoprawny genetyczny empirysta.*

*Wpycham sobie w usta Platona*

*i łakomie przymierzam się do Arystotelesa.*

*Masz pojęcie?*

#### **[Noc filozofów]**

Nie można studiować filozofii nie tracąc czegoś z siebie. Koszty psychologiczne i społeczne bywają różne. Najłagodniejszym przypadkiem jest tylko niezrozumienie, najgorszym choroba psychiczna i przymusowe odizolowanie w klinice dla obłąkanych.

Ale Jaworskiemu i tym razem się poszczęściło. Jest sylwester 1999/2000. Mistycy wróżą koniec znanego nam świata. Marek Trojanowski skończył pisać pracę magisterską. A nasz poeta staje się hiperralistą. Zaczyna dostrzegać piękno tam, gdzie nikt normalny go nie dostrzega. Pisz:

*Obesrane dachy pod obesranym niebem.*

#### **[Hiperrealizm świętokrzyski]**

I takim pozostanie już do końca tomiku. W ostatnim tekście *Drżących przyjemności* filozofia i doświadczenie życiowe zmieniają Krzystofa Jaworskiego w tego don Kichota, który wie, że na głowie ma dziurawą miednicę a za oręż złamaną kopię. Będzie błędnym rycerzem, który ma świadomość bezsensu trudu, który podjął w życiu. Pisząc:

*W jednej skarpecie na nodze.*

*Ze szczoteczka do zębów w ręku.*

*Zamilknę.*

**[przewidywanie przyszłości]**

odczuje ulgę, jedność z Koheletem. Bo tej ulgi potrzeba każdemu, kto przebrnie przez *Drżące przyjemności*.



## **Adam Zdrodowski, Jesień Zuzanny**

Kurs nauki języków obcych dla europośla

### **PODCZAS PRAC NAD KSIĄŻKĄ AUTOR KORZYSTAŁ ZE STYPENDIUM MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO**

**ŚRODKI Z FUNDUSZU PROMOCJI TWÓRCZOŚCI** – ten oto paralizujący dopisek, znany wszystkim z ostatniego dzieła poetki Podgórnik, w środowisku literackim – podobnie jak Biuro Literackie - zyskał status logo. Czytelnik otrząskany w najnowszej poezji polskiej wie, że kiedy na ostatniej stronie tomiku zobaczy powyższą notkę, musi odpowiednio zareagować.

A mianowicie: podwinąć nogawkę spodni tak by odsłonić kolanko a następnie przykłęknąć na utwardzonej, chropowatej powierzchni (asfalt, zwietrzały beton. Od biedy można rozsypać groch na przemysłowej posadzce EMPIKU). Gdy nierówności zaczną wpijać się w kolana, gdy okruchy kwarcu zaczną przebijać naskórek wówczas należy się zjednoczyć w cierpieniu z poetą, który na samą myśl o pisaniu zaczyna cierpieć jeżeli nie za miliony to na pewno za wszystkich mieszkańców swojego bloku. W celu zintensyfikowania uczucia cierpienia, aby mieć pewność, że jest ono autentyczne należy dla pewności poszurać kolaniem. Kiedy zmieni się już w krwawą papkę, w której będzie prześwitywała kość stawu można zawyć z bólu. Będzie to głos cierpienia towarzyszący ministrowi, który przeczytał ciepły jeszcze tomik, wydany dzięki jego dotacji. Można sobie przebić pierś nożykiem do papieru, by jeszcze bardziej zawyć. Wówczas skowyt ów będzie równał się bólom maieutycznym kultury, która urodziła ministerialnie dotowane dzieło.

Komplikacja rytuału celebracji dzieł dotowanych jest bezpośrednim dowodem na to, że każdy z tomików zawierających inwokację do ministra jest dziełem ważnym i zasługuje na uwagę.

Z tego powodu każdy Polak – żywy lub martwy – powinien zapoznać się z tomikiem Adama Zdrodowskiego pt. *Jesień Zuzanny*.

*Jesień Zuzanny* to literacki odpowiednik książeczki do nauki języka obcego. Elementarz w stylu kultowego już *Anfang und Fortschritt* z słońcem na okładce. Pierwszym tekstem, a dokładniej – pierwszym tytułem: **Étranges sont leurs vêtements** poeta Zdrodowski dostarczył materialnego dowodu odpowiedniemu Ministrowi, który odpalił część składek podatników, by dzieło ujrzało światło dzienne, że resortowe stypendium nie zostało przechlane, przećpane, przejebane itp. Poeta Zdrodowski za przekazane mu fundusze kupił zestaw oddechowy SITA do nauki języków obcych. Kupując tzw. pakiet polskiego europośła – czyli zestaw trzech kursów: angielskiego, niemieckiego i francuskiego – Adam Zdrodowski zaoszczędził na korepetycjach. Relaksując się, trenując sekretną technikę oddechu w międzyczasie zapamiętując 10.000 słów / godzinę Zdrodowski najpierw nauczył się francuskiego. I jak na prawdziwego poetę przystało, nie chce zabierać swojej wiedzy do grobu, ale dzielić się ze światem. A dzielił się będzie w ten oto sposób:

‘

...

*Je veux te dire n'importe quoi,  
ça sera peut-être un quelque chose,  
deux trucs triviaux en une seule fois.  
Quelqu'un m'a dit (mais je le crois  
pas) que la vie sur Mars était en rose.  
Je veux te dire n'importe quoi,  
j'aimerais qu'on parle de quoi que ce soit  
au lieu de parler d'une chose grandiose.  
Deux bagatelles en une seule fois;  
tu veux t'cacher, quelqu'un te voit  
(et c'est cet homme qui cause  
et cause). Je veux te dire n'importe quoi,  
j'ai juste une heure, j'en voudrais trois  
ou quatre; j'ai besoin d'une petite pause.  
Je veux te dire n'importe quoi.*

...

[nic]

Przydałoby się w tym momencie coś napisać o tekście. Ale z francuszczyzny to znam tylko: *zeta*.

Adam Zdrodowski świadom ograniczeń większości polskich czytelników proponuje szybki kurs języka francuskiego. Oto fragment konspektu zajęć z nauki francuskiego:

*Noc jest nieprzebrana.*

*La lune est une calebasse pâle*

*(Odbija się w wodach kanału).*

*On se voit bientôt*

*Sous la lune - une calebasse pâle,*

*Co wgrzyzie się w twoją szyję.*

*On se voit bientôt,*

*Gdzie ton nadają nerwy i krew.*

*Wgrzyzie się w twoją szyję,*

*Un homme au chapeau noir,*

*Gdzie ton nadają nerwy i krew,*

*Sous un pont tout neuf.*

*Un homme au chapeau noir*

*Odbija się w wodach kanału.*

*Sous un pont tout neuf*

*Noc jest nieprzebrana.*

**[Une vieille inuite avec un vagin  
au lieu du traîneau]**

Zanim się zorientowałem, że Zdrodowski zaproponował interlinearny przekład jako środek dydaktyczny w nauce języka dokonałem własnej translacji obcojęzycznych fragmentów. Oto moja propozycja:

*La lune est une calebasse pâle*

*lalunia jest cała na palu*

*On se voit bientôt*

*On mówi dobrze jej tak*

*Sous la lune - une calebasse pâle*  
*sos z laluni – za chwilę przypalę*  
*On se voit bientôt*  
*On mówi dobrze jej tak*  
*Un homme au chapeau noir*  
*w domu mam czapkę z norek*  
*Sous un pont tout neuf.*  
*sos trzeba zrobić od nowa*  
*Un homme au chapeau noir*  
*w domu mam czapkę z norek*  
*Sous un pont tout neuf*  
*sos muszę zrobić od nowa.*

Wniosek jest jeden. Muszę popracować na znajomością języka, lub posilić się tzw. sławną dehnelowską „pogłębioną rybką” albo przedłużonym szczupakiem tudzież poszerzonym karasiem.

Adam Zdrodowski oprócz francuskiego zna także angielski. Powyższy tekst przedstawił także w wersji dla grupy anglojęzycznej poziom podstawowy. Oto tekst:

*The night is boundless.*  
*Księżyc jest bladą tykwą*  
*Reflected in the waters of the canal.*  
*Zaraz się spotkamy*  
*Pod księżycem - bladą tykwą*  
*(It'll bite into your neck).*  
*Zaraz się spotkamy,*  
*Where blood and nerves set the tone.*  
*He'll bite into your neck,*  
*Ten mężczyzna w czarnym kapeluszu,*  
*Where blood and nerves set the tone,*  
*Pod całkiem nowym mostem.*  
*Mężczyzna w czarnym kapeluszu*  
*Is reflected in the waters of the canal.*

*Pod całkiem nowym mostem*

*The night is boundless.*

**[Old Inuit Woman with Vagina**

**Instead of Sleighs]**

I jak wyżej, także na tym tekście chciałem przetestować swoje lingwistyczne zdolności.

Potłumaczyłem sobie:

*The night is boundless.*

*W nocy słyszeć bębny*

*Reflected in the waters of the canal.*

*Reflektor w wodzie na CANAL+*

*(It'll bite into your neck).*

*(ugryź mnie w nerkę)*

*Where blood and nerves set the tone.*

*Nerwy i krew razem ważą tonę*

*He'll bite into your neck,*

*Ugryź mnie w nerkę*

*Where blood and nerves set the tone,*

*Nerwy i krew razem ważą tonę*

*Is reflected in the waters of the canal.*

*Reflektor w wodzie na CANAL+*

*The night is boundless.*

*W nocy słyszeć bębny.*

Abstrahując od własnych kompetencji lingwistycznych, jakości moich translacji itp. itd., w tomiku Adama Zdrodowskiego *Jesień Zuzanny* warto zwrócić na archetyp *dropsa*.

Drops to taka zielona miętówka, którą odwijano się z papierka i ssało zanim wynaleziono Mentosy. Zdrodowski jako poeta w bardzo odkrywczy sposób wykorzystuje motyw zielonkawego cuksa o charakterystycznym smaku mocnej mięty. Oto przykłady:

*drops dead*

**[sestyna]**

Motyw zabitego dropsa wymaga niebywałych kompetencji interpretacyjnych, których nie posiadam. Z tego powodu przejdę do kolejnego kontekstu występowania tego archetypu w poezji Zdrodowskiego.

*zwinne jak cytrynowy drops*

[**sestyna**]

Jak wyżej.

*Raindrops dancing*

[**sestyna**]

*drops*

[**sestyna**]

Tu tylko Jakub Winiarski, stosując swoje najbardziej tajne z tajnych technik hermeneutycznych może pomóc. Pomoc Winiarskiego będzie też niezbędna w trakcie prób dekonstrukcji znaczenia archetypu dropsa w tekście: **Najjesienniej**. W tym wierszu z dropsem dzieje się coś niebywałego – drops wchodzi w syntezę twórczą z zespołem Feel. Zdrodowski pisze:

*Drops fell*

[**najjesienniej**]

Jest też taka możliwość, że coś mi się pomyliło. Z języków obcych to ja znam tylko język swojej dziewczyny, jej mamusi, jej babci, jej teściowej, jej bratowej oraz córki jej brata (która skończyła 18 lat).

## **Sławomir Elsner, Antypody**

Wszyscy mamy takie same życiorysy

Żywy poeta polski to stworzenie inne – przynajmniej tak się powszechnie uważa. Od tej reguły są wyjątki. Na przykład: poetka Aleksandra Zbierska – w godzinach od 8-15, od poniedziałku do piątku jest pracownicą agencji nieruchomości. Jest taka sama jak wszyscy. Ale ta ładna, wyperfumowana, szykowna laska w okolicach wieczora i w dni wolne od pracy zmienia się w wampira z gotyckiego horroru. Staje się inna. I by być taka jak inni zmienia kostiumik na bojówki. Asymetryczną grzywkę zaczesuje do góry, by się zmieściła pod czapkę z daszkiem i zaczyna pisać wiersze.

Żywy polski poeta czasami programowo występuje przeciwko regule bycia innym niż wszyscy. Taki śmiałek wtapia się w tłum na poziomie mentalnym i wrażliwościowym, chcąc organoleptycznie odczuć istotę pospolitego bycia. W pewnym momencie sam staje się częścią masy a ontyczną jedność z pospolitością na wszystkich płaszczyznach podnosi do rangi absolutu.

Takim poetą – i co ważne: żywym – jest Sławomir Elsner. Aby zrozumieć istotę poezji Sławomira Elsnera trzeba najpierw zrozumieć czym jest – a bardziej: jaka jest – pospolitość.

Oto fragment życiorysu człowieka, który jest taki sam jak wszyscy:

Życiorys

*Urodziłam się 28 listopada 1990 roku w XXXXXX. Moimi rodzicami są Jarek i Ada z domu Bizon. Ojciec, z wykształcenia jest mechanikiem samochodowym i pracuje w prywatnym zakładzie naprawczym. Matka jest krawcową i pracuje w zakładzie krawieckim. W roku 1997 rozpoczęłam naukę w Szkole Podstawowej nr 9 im. EF w XXXXXX. Po jej ukończeniu kontynuuję naukę w gimnazjum nr 4 im. Stefana Batorego. Osiągam bardzo dobre wyniki w nauce. Moje zainteresowania wiążą się z przedmiotami ścisłymi. Brałam udział w szkolnym konkursie biologicznym, w którym zajęłam miejsce w pierwszej siódemce laureatów. Po*

ukończeniu trzeciej klasy pragnę kontynuować naukę w liceum ogólnokształcącym w klasie o profilu biologiczno - angielskim.

(źródło: [sciaga.pl](http://sciaga.pl))

A oto wiersz Sławomira Elsnera:

*Przeprowadziłem się pod wiadukt,  
na 29 listopada 3a/32, parter.  
Pracuje na trzy zmiany w systemie  
czterobrygadowym. Zarabiam  
tysiąc dwieście pięćdziesiąt złotych  
netto. Posiadam: telefon komórkowy  
firmy Nokia (dwa zaległe rachunki),  
wieżę hi-fi marki Sony, telewizor  
prawie jak samochód - Daewoo.  
Z mojej lodówki wylał się freon  
i nie chłodzi. W łazience nad wanną  
wisi stary piecyk gazowy.*

**[dioda]**

Różnica między twórczością poetycką Sławomira Elsnera a statystycznym pismem urzędowym, do którego napisania zmuszony jest statystyczny człowiek przynajmniej raz w życiu ogranicza się tylko do mechaniki podziału na wersy. Wiersz **Dioda** pozbawiona tego podziału staje się zwartym tekstem, wzorem życiorysu jedermana:

**Życiorys**

*Przeprowadziłem się pod wiadukt, na 29 listopada 3a/32, parter. Pracuje na trzy zmiany w systemie czterobrygadowym. Zarabiam tysiąc dwieście pięćdziesiąt złotych netto. Posiadam: telefon komórkowy firmy Nokia (dwa zaległe rachunki), wieżę hi-fi marki Sony, telewizor prawie jak samochód - Daewoo. Z mojej lodówki wylał się freon i nie chłodzi. W łazience nad wanną wisi stary piecyk gazowy.*



Dodajmy do tego inne fragmenty z pozostałych wierszy z tomiku: **Antypody**

*Kupiłem pinezki.[styczeń] Po każdym swoim pijaństwie pozostawiam w świecie coś pustego. Po ostatnim były to: portfel, bo pieniądze zamieniłem na alkohol [piosenka pijaka] Przesiadka w podróży na zadupiu, którego nazwy nawet nie pamiętam, przedłuża się w czasie. Pociąg odstawiony na bocznicy zakończył bieg, wszystkie połączenia zostały wstrzymane z powodu śnieżycy. [proces] Moje miasto ma dwie ulice, przy których nie ma kościoła. [zbawienie] Kocham cię, ale nie wiem, gdzie mieszkasz. Ta odległość nas dzieli. Uparcie szukałem cię dzisiaj w centrum Katowic [wiersz bez odbiorcy] Dzisiaj ogoliłem głowę i spaliłem włosy; śmierdziało na mnie ubranie, [północ]*

Sławomir Elsner przenosząc literalnie codzienność do poezji stara się wyróżnić spośród innych uprawiaczy poezji. W tym jego staraniu zawiera się pewien paradoks: życiorys Sławomira Elsnera jest taki sam jak życiorys tych, od których chciałby się odróżnić.

#### **SŁAWOMIRELSNER**

*Urodził się w 1976 r. Poeta. Mieszka w Olkuszu. Tom Antypody jest główną nagrodą w projekcie „Połów 2008”, skierowanym do autorów przed debiutem książkowym. Jego zapowiedzią był opublikowany w 2007 r. arkusz Afekt.*

#### **JULIASZYCHOWIAK**

*Urodziła się w 1986 r. Mieszka w Księżycach, studiuje we Wrocławiu. Tom Po sobie jest główną nagrodą w projekcie „Połów 2007” skierowanym do autorów przed debiutem książkowym. Jego zapowiedzią był opublikowany jesienią 2006 r. arkusz Poprawiny.*

#### **ADAMZDRODOWSKI**

*Urodził się w 1979 roku. Poeta, tłumacz. Autor książki poetyckiej Przygody, etc. (2005).*

*Wiersze i przekłady m.in. Gertrude Stein, Jamesa Schuylera, Williama S. Burroughsa, Marka Forda publikował w „Literaturze na Świecie”, „Przekroju”, „Odrze” i „Dwukropku”. Mieszka w Warszawie.*

Ale jak tu się wyróżnić spośród ludzi, którzy mają takie same życiorysy?

## **Piotr Mierzwa, Gościnne morze**

365 dni niezwykłych w roku

Każdy dzień w życiu polskiego poety jest wyjątkowy. W związku z tym, że ziemski rok ma 365 dni poeci zagraniczni mają czego zazdrościć polskim kolegom. O tym jak wyjątkowe mogą być dni z życia poety świadczą relacje, dokumenty piśmienne, które sezonowo zasypują rynek księgarski.

Dla przykładu. Gdzieś w kraju, w jakimś mieście a może na wsi, mieszka sobie człowiek. Dokładniej: mężczyzna, mówiący po polsku. Na imię ma Piotr a na nazwisko Mierzwa. Piotr Mierzwa niczym by się nie różnił od statystycznego Jana Kowalskiego, który podobnie jak on mieszka sobie w jakimś mieście albo na wsi, mówi po polsku i jest facetem. Jan Kowalski nie przeżywa tak wyjątkowych dni jak Piotr Mierzwa. A nawet jeżeli przeżywa, to ich nie utrwała. A nawet gdy gdzieś tam na fiszkach zapisuje relacje z tych wyjątkowych dni, to ich nie wydaje w formie tomików co Piotr Mierzwa bez oporu czyni.

Z dnia na dzień, od czynów do słów, od słów do wierszyków poeta Mierzwa Piotr tworzy relację z niezwykłych dni polskiego poety współczesnego. Dokładnie po 40. dniach zbiera zapiski, zszywa je spinaczami i pakuje w kopertę A4. Na kopercie oprócz adresu wydawnictwa dopisuje też sugerowany tytuł tomiku i wysyła list. Kilka miesięcy później w empikach można kupić dzieło poety. Tak się stało w roku 2005.

W serii: „**biblioteka studium**” wydawanej przez Zieloną Sowę (zamiast nekrologu, na zamknięcie serii, wydano *Cosinus salsę* Moniki Mosiewicz), ukazało się dzieło Piotra Mierzwy pt. *Gościnne morze*.

Kim jest Piotr Mierzwa? – o tym poinformował wydawca, żeby nikt nie miał wątpliwości, że chodzi w tym przypadku o jednego z 500-600 polskich poetów współczesnych. Ludzi o podobnych życiorysach:

„**Piotr Mierzwa** (ur. 1980) - wydał arkusz wierszy pt. „*mały*”

*Wiersze i przekłady z angielskiego publikował  
między innymi w Nowym Wieku, Studium  
Przekładańcu. „Gościnne morze” to jego debiut*

Czytelnik dzięki spisowi publikacji w biogramie ma pewność, że ma do czynienia z fachowcem. Żaden tam nowicjusz, skoro publikacja w: „nowym wieku, studium, przekładańcu”. Dowiedział się, że Mierzwa wydał już „*arkusz wierszy pt. mały*” i że „*gościnne morze to jego debiut*”.

Kiedy czytelnik zacznie się zastanawiać nad fenomenem „*debiutu*” w sytuacji, gdy wcześniej ukazał się przecież „*arkusz wierszy*”. Kiedy czytelnik pogrąży się w filozoficznej zadumie nad różnicą ontologiczną między tomikiem a arkuszem? Na temat: „Ile arkuszy wierszy zmieści się w tomiku poetyckim” – wówczas poeta przepuści pierwszy atak nuklearny, bombardując świadomość czytelniczą swoją pierwszą relacją z wyjątkowego dnia:

*Można się było wprawić w osłupienie:  
kosmyki wepchnąć w usta, żeby bezgłośnie  
wyjrzały uszami.*

**[początek]**

Na temat kategorii „*bezgłośnie*” i jej recepcji w polskiej poezji współczesnej, oraz na temat skonstruowanych w oparciu o nią metafor dopełniaczowych można by napisać przynajmniej dwadzieścia rozpraw naukowych *in folio*. Nie o rozprawy habilitacyjne się tu rozchodzi, lecz o dzień z życia poety i jego wyjątkowość.

Jak bardzo niezwykły musiał być ten „*osłupiający*” poranek, w którym poeta postanowił poeksperymentować z włosiem.

Jeden z pierwszych, dziecięcych eksperymentów z makaronem spaghetti polega na tym, że wciąga się makaron do nosa tak, by trafił do jamy ustnej, z której się go wyciąga. W ten sposób, że jeden koniec jest w nosie, drugi w buzi. Można przeciągać makaron tam i z powrotem, póki się nie przerwie.

Poeta Mierzwa, chcąc uniknąć zarzutu o wtórność, o epigonizm, tego wyjątkowego dnia próbuje odnaleźć połączenie między uchem wewnętrznym a otworem gębowym. Czy można sobie wyobrazić bardziej wyjątkowe zdarzenie tego wyjątkowego dnia?

Piotr Mierzwa w innych tekstach dowodzi, że bezgłośny włos w uchu to preludium do tego, co się może przytrafić nastawionemu na odbiór świata poecie w dzień powszedni.

Taki niby pocałunek z języczkiem. Dla normalnego człowieka jest to normalność, która zdarza się każdego normalnego dnia o normalnej porze. Dla poety sprawy tak proste jak całowanie, już proste nie są. Poeta pisze:

*W usta  
wgryzą się małe rzeczy i połkną —*

*mój - język.*

**[szybkie]**

Upredzając obawy niektórych czytelników informuję, że poeta zrezygnował z umieszczenia w tomiku niezwyklej relacji, z niezwyklego wieczoru, kiedy to w niezwykle sposób, dotknął niezwyklej waginy, niezwyklej kobiety.

Czasami polskim poetą nawet w najbardziej niezwykle dni targają zwykłe namiętności – na przykład potrzeba posłuchania dobrej muzyki.. Poeta jak każdy śmiertelnik ulega. Wybiera odpowiednią kasetę. Wkłada ją do ulubionego Kasprzaka. Naciska start i szybko siada w fotelu. Na tym etapie nie ma różnicy między Piotrem Mierzwą a Janem Kowalskim. Dopiero to, co się zaczyna dziać po pierwszych dźwiękach sprawia, że pierwszy jest polskim poetą a drugi statystycznym człowiekiem mówiącym po polsku. Bo kiedy z Kasprzak zaczyna wydobywać z siebie pierwsze dźwięki Piotr Mierzwa chwyta z kartkę i długopis, zapisując:

*Tak zwijały  
się szpulki dźwięków na mnie niemym ciełe,  
które szukało emisji, bo trzeźwa  
kalkulacja mu podszeptowała,*

*że na falach dźwięk się gęsto ściele,*

**[sonet youth]**

Poeta, w ramach relaksu, lubi sobie gdzieś czasami pojechać. Na przykład na wieś. Niby zwykła wieś. Zwykle wiejskie obejście w zwykły dzień, po którym chodzą najzwyklejsze w świecie kury. Jednak nie dla poety. Tego niezwykłego dnia, w którym poeta ujrzał kurę – polską, rudą noskę – poczuł mistyczną jedność z ptakiem i zanotował:

*Między twoimi nogami jest moje pióro,*

**[myłóść]**

W niezwykłej drodze życiowej poety: od wsi do miasta, od miasta do wsi, od domu, do domu, od wydawnictwa, do wydawnictwa – czasami pecie przytrafi się rzecz z pozoru zwykła. Rozwiąże się sznurowadło.

Historia zna przypadki, kiedy to motyw sznurowadła u sandałów oznaczał nadejście mesjasza. Dlatego relację Piotra Mierzwy:

*Strategiczne czy nie,  
gruczoły pozwolą się przeliczyć, supelki,  
które nie wiążą nic, co j u ż związane.*

**[za miastem]**

należ traktować jako proroctwo - zapowiedź czegoś niezwykłego. Samego poetę zaś jako forpocztę Lewiatana, złożonego z miliarda żywych poetów polskich.

Wyjątkowość poety potwierdza się także w salonie kosmetycznym, w którym poeta płaci za wykonanie tak prostej usługi jak pielęgnacja paznokci. Kiedy kosmetyczka wykonując zwykłą czynność draśnię narzędziem nie chcący skórkę, poeta zaciska dłoń w pięść i wieszczy:

*Wydrążyliśmy „serce”, bo w rynience rymu  
więcej się nie rozsupta j a k tylko pięć mięśnia,*

**[szklane oko]**

Ale zwykła kosmetyczka nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tak niezwykłych słów. Czyni swoją powinność. I znowu błąd w sztuce. Tym razem to już nie przelewki.

*Zaciśnięta w pięść dłoń ulic zagraża powtarzalności  
ruchu, krew poleje się, jeśli ją zaczepię.*

**[gościnne morze]**

Dwa dni później kobieta umiera na oddziale intensywnej terapii. Jej organizm nie wytrzymał konfrontacji z niezwykłością poety. Jej zwykły dzień pracy okazał się być tak samo niezwykły jak jeden z 365. dni polskiego poety w roku. Odczuwszy fizyczną jedność z dwunożną niezwykłością wyzionęła ducha.

## **Juliusz Gabryel, Laboratoria**

Taaaaaaa

Nowa poezja polska to kilkanaście tysięcy wierszyków pisanych przez kilkuset ludzi o takich samych życiorysach. Współczesny polski poeta, to:

**Jan Kowalski**, *ur..... Poeta i prozaik.*

*Debiutował ..... Publikował m.in.*

*w....., ..... a także....., ....., .....*

*i w....., oraz.....*

*Laureat konkursu.....*

*Zdobywca nagrody ..... i .....*

*Mieszka w.....*

Juliusz Gabryel także należy do kilkusetosobowego tłumu rymująco-wieszczących przedstawicieli rodzaju ludzkiego mówiących po polsku. Ma na to odpowiednie papiery:

**„Juliusz Gabryel - ur. 1979.**

*Student filozofii na Uniwersytecie w Opolu.*

*Wiersze publikował w Studium, Frazie,*

*Odrze, Toposie, Kresach, Fa-arcie, Kursywie,*

*Portrecie, Undergruncie, Nowej Okolicy*

*Poetów, Pro Arte, Kulturze.*

*Autor tomu „Hemoglobina” (2003).*

*Mieszka w Kluczborku.”*

Juliusz na poziomie życiorysu chciałby się jakoś wyróżnić w tym równiutkim szeregu gwiazd polskiej poezji współczesnej. Gwiazd, które z chęcią zatańczyłyby na lodzie przed kamerami TVN-u, gdyby tylko TVN chciał zaprosić te gwiazdy na lodowisko.



Pierwszy polski parapoeta – Dariusz Pado – uwiarygodniając się w roli przewodnika duchowego narodu akcentował w swoich notkach biograficznych swoją ułomność. Do życiorysu dopisywał sobie: „Dariusz Pado, dyslektyk, poeta...”. Miało to wzbudzić w czytelniku litość, osłabić zmysł krytyczny, sprawić by czytelnik przyjmował każdy tomik Darka w taki sam sposób, w jaki przyjmuje się porcelanowe słoniki roznoszone w ogródkach restauracyjnych przez osoby głuchonieme z prośbą o wsparcie finansowe. Człowiek powodowany litością po przeczytaniu zalaminowanego zaświadczenia o niepełnosprawności zapłacił te osiem złotych za słonika z Chin.

Juliusz poszedł tropem parapoety. Ale zamiast skanu legitymacji rencisty dopisał do życiorysu:

*„student filozofii”*

Filozofia na zasadzie dysleksji ma uwiarygodniać, nadawać sens słowu pisanemu. Za filozofią kryją się Platony, Arystotelesy, Hegle i Kanty. Tradycja ta nie powinna zostać zignorowana, w szczególności gdy odwołuje się do niej student, poeta i na dodatek Juliusz o anielskim nazwisku.

Od czasów kiedy Jacek Dehnel - zanim dobrał się do Balzaca - przerobił brzytwę Ockhama na maszynkę do golenia nóg i pach, żadna kategoria filozoficzna nie może się czuć bezpieczna. Nie ma lepszego pomysłu na głęboki, metafizyczny wierszyk niż dodanie do odpowiedniego archetypu filozoficznego kilku rymujących się słówek. Weźmy taki: *aperion*

Oto wiersz:

*O aperionie, o aperionie*

*O aperionie, o aperionie*

*O aperionie, o aperionie*

*O aperionie, o aperionie*

*O aperionie, o aperionie*

*Tu wrbel ḋpiewa tam ḋwinia tonie*

Poeci skwapliwie wykorzystują tradycję filozoficzną dla potrzeb własnych. Nie ma w tym nic nagannego. Przeciwnie. Doceniać należy żądzę poznania i wysiłek intelektualny

towarzyszący studiowaniu dzieł klasyków. Weźmy takie dzieła Ockhama. Łatwo sobie wyobrazić trud Jacka Dehnela, który ze słownikami łaciny średniowiecznej dociekał sensu kategorii supozycji. Młody, ambitny, wykształcony umysł nie zadowoliliby się jakimiś tam tłumaczeniami. W grę nie wchodziły także żadne tam pogłębione rybki, poszerzone karasie czy przedłużone szczupaki. Jacek Dehnel – malarz, poeta, tłumacz poezji anglosaskiej, łotewskiej, kirgiskiej, ugaryckiej, polskiej, bułgarskiej przetłumaczył na własny użytek dzieła zebrane Ockhama. W ten sposób powstała legendarna „*Brzytwa okamgnienia, która odcina wszystko*”.

Wracając do związków filozofii i poezji. Zasada jest taka:

**Każdy filozof jest poetą.**

**Nie każdy poeta jest filozofem**

**Nie każdy, kto studiuje filozofię, jest filozofem**

**Każdy filozof studiuje filozofię**

Juliusz Gabryel miał pionę z logiki na studiach. Sylogistykę ma w dwóch małych paluszkach nie wspominając o logikach nieklasycznych. Mając świadomość zakresu kwantyfikatorów i aby nikt nie miał wątpliwości, że on jest tym „*studentem filozofii*”, który „*jest filozofem*” a tym samym „*jest poetą*” zwrócił się o pomoc do Łukasza Bagińskiego by ten strzelił mu odpowiednią fotę.

W ten oto sposób powstało legendarne ujęcie z profilu, opublikowane wraz z biogramem w tomiku Juliusza Gabryela pt. *Laboratoria*.

Poeta, student filozofii, ubrany trochę niedbale. Spod marmurkowej katany wystaje kaptur. Prawa ręka poety i studenta filozofii wciśnięta w prawą kieszeń spodni. Głęboko. Jakby w poszukiwaniu absolutu. Iskry życia w ten mroźny i nieprzyjazny człowiekowi dzień zimowy. W lewej dłoni poety, studenta filozofii widać papierosa. To dowód, że poeta, student filozofii myśli. Atrybutem myślenia są też okulary, które poeta, student filozofii Juliusz Gabryel ma na nosie. Jednak ostatecznym dowodem na obecność myślenia jest w tym przypadku dowód ontologiczny, czyli tzw. dowód ze zgarbionej sylwetki. Otóż osoba na zdjęciu jest młoda. Ale mimo młodego wieku garbi się. To znak, że głowa jest ciężka od myśli.

Analiza zdjęcia oraz życiorysu Juliusza Gabryela prowadzi do wniosku, że bezspornie mamy w tym przypadku do czynienia z filozofem i poetą. Z tego powodu wierszom Gabryela z tomiku *Laboratoria* należy się najwyższa uwaga. Wszystkich niedowiarków – tych, którzy nie zaufali świadectwu Bagińskiego, ani notce: „*student filozofii*” w życiorysie – ostatecznie uświadamia Jacek Gutorow, który tuż pod biogramem, tuż pod pięknym zdjęciem, równie pięknie jakby z filozoficznym zacięciem napisze:

*„Skróty i przeskoki myślowe oształmiają jak niespodziewane odkształcenia perspektywy.  
Obrazy rozkładają się na części pierwsze i pozwalają na wielokrotne złożenia. Opaczna logika snu wytrąca czytelnikowi z ręki każdą broń, tę najniewinniejszą i tę najbardziej wymyślną”*

Pozostawmy fachowej, filozoficznej analizie kategorie: „*opacznej logiki snu*”. Przejdźmy do analizy tekstów Juliusza Gabryela z tomiku *Laboratoria*.

Oto pierwszy tekst z tomiku *Laboratoria*. Tekst filozofa z Opolą, wiersz poety. Oto tekst zgarbionego, młodego człowieka z głową ciężką od myśli. Atlasa, który na barkach dźwiga cały wszechświat i wszystkie kosmiczne myśli oraz pragnienia płynące z najodleglejszych galaktyk. Tekst o niebywałym ładunku intelektualnym i emocjonalnym. Jedyna próbka poezji poety-filozofa, którą zdecydowałem się przytoczyć. Pierwsza i ostatnia jak: aperion, aporia, anamneza, antynomia i antyteza. Unikalna jak Juliusz Słowacki i Juliusz Gabryel. Boska jak zestaw archaniołów Pseudo Dionizego Aeropagity z *Peri tes ouranias hierarchias*.

Panowie i panie na kolana. Oto wiersz:

*Wystarczy się odpowiednio skoncentrować i żadna ściana  
nie trafi na opór, ale zacznie się obracać.  
Ujrzymy wtedy krainy, które tylko mogliśmy przeczuwać,  
gdy ciężkozbrojna zima nie chciała się wycofać.  
Na oblodzonych chodnikach pękały kręgosłupy,  
czereśnie gradu uderzały o karoserie,  
starannie pielęgnowane maski.  
Wdrapywaliśmy się na leśne ambony,*

*spróchniałe drzewo dotrzymywało  
nam przyjaźni.  
Przychodziliśmy z drzazgami w palcach,  
a śnieg widział, że nie ma skarbów  
ponad drzazgi.*

**[świętokradztwo]**

Oficjalny komentarz do tekstu - taaaaaaa....

Poza komentarzem:

Seria „*nowej poezji polskiej*” (Wydawnictwo Zielona Sowa), w ramach której wydano m.in. *Laboratoria* została pogrzebana. Bez większego protestu, oporu środowiska i czytelników. Zaczynam wierzyć w prawa ekonomii, oraz w działanie rynku w szczególności w jego zdolność do samooczyszczania się.

## Krzysztof Ciemnołowski, Przebicia

Zero absolutne

Marzeniem każdego poety jest recepcja jego wierszy. Poeta i jego dzieło nie istnieje obiektywnie, zawieszony gdzieś tam pośrodku doskonałej ciszy. Wiersze pojawiają się dopiero w dyskusji, w najbardziej subiektywnej dyskusji, która prowadzi do otwartej konfrontacji między umysłem czytelnika a poetą, w której pośredniczy tekst. Bez polemiki wiersz pozostaje tylko uporządkowanym bardziej lub mniej zbiorem znaków i istnieje tylko obiektywnie na poziomie formalnym.

Ulubiony modus istnienia wiersza ujawnił się w mechanice działania poetyckich portali internetowych. Publikowane na nich wiersze dzielą się na te, które są komentowane i te, które komentowane nie są. I co się okazuje: wiersz może być bardzo dobry, ale bez dyskusji, bez komentarzy (recepcji) traci wartość. Przechodzi do nieistnienia. Inaczej: słabe teksty, o których się dyskutuje, które się komentuje, pod którymi pojawia się kilkudziesięciopostowa dyskusja, zaczynają żyć. Stają się lepsze (lepsze nawet wówczas, gdy sama dyskusja jest bardziej ciekawa, niż wiersz sam)

Istnieje taki rodzaj poezji, która programowo, rezygnuje z recepcji. Są takie wiersze, których nie można skomentować. To poezja niekomentowalna, poezja, która sama zawiesza się w próżni – w absolutnej ciszy. Poezja zdehumanizowana, której nie interesuje to, co ludzkie (dyskusja z czytelnikiem) ani to, co uniwersalne. Poezja, która wraca do początku, do słowa słowa, które w przekazie niesynoptycznym: było na początku.

Słowo w tym przypadku pobawione jest nie tylko znaczenia słowa jako Logosu. Tutaj nie ma ono żadnego sensu, żadnego bezsensu. W tego rodzaju poezji nie ma nic, oprócz mechaniki wiersza.

Przykładem takiej poezji są wiersze Krzysztofa Ciemnołowskiego, publikowane w tomiku *Przebicia*.

Tomiczek ukazał się w 2005 r.. Do dnia dzisiejszego dla frazy: krzysztof ciemnołoński, przebicia pojawia się 100 rekordów w google. Po dodaniu do frazy znaku cudzysłowu – w celu zawężenia poszukiwania – rekordów jest już tylko pięć.

Banicja, na którą skazał poeta swoje wiersze w tym przypadku jest świadomym wyborem Ciemnołońskiego. Zredukował on na płaszczyźnie znaczeniowej możliwość dyskursu do zera.

Pierwszy przykładowy tekst:

*właściwy człowiek na właściwym  
miejscu najjaśniejszy punkt twojego  
nerwosłonu choć z pozoru próżnia  
wyrwane zagarnięte z zewnątrz plamy  
zaniedbany trawnik*

**[love rules. berlin 2003]**

Inny fragment:

*połowa kwietnia osiemdziesiąt pięć i wie  
że to po ciebie wychodzi na światło  
dziennie coraz pewniej przelamując fale  
podskórne drgania pór roku  
w swoich zmianach ledwo wyczuwalne  
jak puls i tak samo liczne*

**[projekcje]**

Najlepsze jest to, że w tym przypadku – jak w żadnym innym do tej pory, z którym miałem do czynienia – sens traci pytanie: „co to kurwa jest?”. Kwestia: „co poeta chciał przez to powiedzieć?” jest nie tyle nierozstrzygalna w ramach istniejących oraz możliwych semantyk, ale taka kwestia w kontekście wierszy z *Przebicia* pojawić się w ogóle nie może.

[mała uwaga: wyjątkiem jest tu oczywiście Jakub Winiarski, który o *Przebiciach* Ciemnołońskiego napisał: " *W ciekawy sposób udaje się Ciemnołońskiemu przechodzić z wersu do wersu, płynnie i bez afektacji, ciekawie udaje się Ciemnołońskiemu wykreować świat z jednej strony własny i osobny, z drugiej - współzależny od wielu innych światów, od których autor ten odizolować się nie chce i nie ma zamiaru.*". Jeżeli wziąć pod uwagę, że Jakub Winiarski jako krytyk literacki za odpowiednim wynagrodzeniem równie brawurowo recenzuje banderolę akcyzy na paczce papierosów, recenzja tekstów z *Przebić* już nie zaskakuje]

Każde pytanie implikuje nie tylko jedną możliwą odpowiedź, ale funkcja pytania zakłada, że istnieje przynajmniej jedna osoba aktywna. Jeżeli chodzi o Ciemnołońskiego i jego tomik *Przebicia* wrażenie ustępuje pewności: poeta rezygnuje zarówno z dialogu zewnętrznego jak i wewnętrznego. Zbudował teksty tak, by na skali możliwych wartościowań zajmowały punkt zero. Idealny i sam w sobie doskonały.

Ale jak z każdą doskonałością bywa, tak i w tym przypadku wiersze Ciemnołońskiego są osamotnione. Ograbione z czytelniczej pasji, pozbawione recepcji w dyskursie istnieją w świecie zero. Nie można tych wierszy docenić, ani nie docenić. Nie można o tych tekstach powiedzieć nic, oprócz tego, że są. I tyle.

Oto kolejny przykład:

*jak nakrętka na stoiku kręci się krajobraz  
lockerbie beattock elvanfoot i inne nagie  
części tego zimnego kraju do których nie  
dotarliśmy nowiusieńcy spod igły wzięci tutaj*

[*iona. po przejściach*]

Idealna samotność, na którą skazał Ciemnołoński swoje teksty w chwili, gdy je napisał może być uznana w pewnych kręgach za cnotę. Jednak nawet stado średniowiecznych eremitów, odwykłych od mowy, od obecności drugiego jest w obliczu tomiku *Przebicia* bezsilna. Ten tomik istnieje jak pan bóg – egoistycznie – przez siebie i dla siebie. Nie potrzebuje żadnej zewnętrznej racji dla swojego istnienia. Mało tego. Dzieło Ciemnołońskiego tak dalece nie

interesuje się istnieniem samym, że równie dobrze mogłoby przestać istnieć. Tak bardzo jest obojętne na wszystko, włącznie z sobą. Jest zerem absolutnym.



## Krystyna Dąbrowska, Biuro podróży

Czym się różni poeta od człowieka

Czym się różni człowiek od poety? Jaka jest morfologia poety, jaki jest skład chemiczny człowieka? Czym się różnią te istoty od siebie? Czy poeta i człowiek to dwie nazwy tej samej rzeczy? Czy nie?

Otóż kiedy człowiek spacerując sobie po plaży zobaczy kąpiącego się morzu psa, to myśli sobie: „Ożesz ty w dupę jebany kundlu zawszony!”. Po chwili wewnętrznego wzburzenia o charakterze gwałtownym, normalny człowiek zacząłby się rozglądać w poszukiwaniu właściciela czworonoga zadając sobie w międzyczasie pytanie: „Jaki chuj wpuścił psa na plażę?! Za chwilę zasra ja całą. Ja mam się tu później kąpać?”. Zorientowawszy się, że właścicielem pieska nie jest kolega po fachu Pudzianowskiego ale wycackana paniusia, człowiek przerwałby na chwilę proces refleksji. Sięgnąłby po solidnego otoczaka idealnie wyprofilowanego w falach i piasku morskim. Sprawdził czy dobrze leży w ręce. Następnie rzuciłby. Mszcząc się za wszystkie psie gówna na miejskich trotuarach, trawniczkach, skwerkach, w parkach – za wszystkie w które wdepnął i te, w które wdepnie – rzuciłby nie po to, żeby przepędzić czworonoga ale żeby zabić włochate, śliniako-szczekająco-srające bydle.

Jednak kiedy poeta w poszukiwaniu natchnienia przechadza się plażą i spotyka tego samego psa w takiej samej sytuacji robi zupełnie coś innego. Bierze karteczkę i szybko zapisuje:

*Wczoraj widziałam psa na brzegu morza  
młodego czarnego psa, jak z rozpędu wpada do wody  
i gryzie ją i orze, a zaraz płoszy się, cofa  
klusuje skrajem plaży - staje - skrada się - trąca nosem  
bok fali, ostrożnie obwącjuje toń  
i szturcha łapą, bodzie, drażni morze  
jakby zaczepiał ogromne stare zwierzę.*

[Wczoraj widziałam psa na brzegu morza]

Albo inna różnica. Kiedy normalny przedstawiciel rodzaju ludzkiego, kiedy śpi ma jakieś tam sny. Zwykle zapomina o nich tuż po przebudzeniu. Jednak z poetami i tym, co wyśnią rzecz ma się zupełnie inaczej. Każdy rasowy poeta kładąc się spać oprócz obowiązkowej higieny jamy ustnej i nastawienia budzika, kładzie obok łóżka kilka czystych kartek i coś do pisania. Bo kiedy się poecie coś przyśni, to szybko to notuje a zanotowawszy upaja się notatką jakby to było nie sprawozdanie ze snu ale kwestia Gustawa z *Dziadów*. Oto zapis snu poety:

*Gdy otworzyłam oczy, otaczał mnie krąg ludzi  
których nie było wcześniej. Zamknęłam je znowu  
chcąc wrócić tam, gdzie zawsze jestem: w ciemności  
z przesuwanymi się wolno żółtymi liśćmi.  
Ale krąg zamknął się i to co było przedtem:  
wysoko mur, kamienne schody niżej  
wskazało na to, co przyszło zaraz potem:  
schody, mur.*

**[Gdy otworzyłam oczy]**

Różnice między zwykłym człowiekiem a polskim poetą współczesnym ujawniają się także w sytuacjach niecodziennych. Weźmy dla przykładu taki oto przypadek. Ruchliwe skrzyżowanie gdzieś w centrum Warszawy. Przejście dla pieszych. Włącza się zielone i wszyscy ruszają. Wszyscy, oprócz staruszki, która zasłała. Przewróciła się. Leży nieprzytomna. Co robi normalny człowiek? Normalny człowiek odchodzi od leżącej babci, której w śmiertelnych konwulsjach podrygują nóżki. Odchodzi to raczej eufemizm. Człowiek normalny ucieka jak najdalej i jak najszybciej. Ucieka bo nie zna zasad pierwszej pomocy. A jak zna, to przecież nie siłował się z protezą uzębienia, którą w takich przypadkach trzeba wyjąć. A nawet gdyby przełamał wewnętrzny opór przed zębami z plastyku, gdyby znał zasady masażu serca i sztucznego oddychania to pewnie i tak by uciekł. Bo normalny człowiek wie, że gdyby babcia nie przeżyła reanimacji (a pewnie nie przeżyje masażu serca, który prawidłowo wykonany skutkuje złamaniem mostka), to mógłby zostać oskarżony o udzielenie niefachowej pomocy, w wyniku której pacjentka zmarła.

Poeta zachowa się inaczej. Zostanie na miejscu. Uklęknie obok konającej i opuszczonej przez wszystkich staruszki. Będzie wpatrywał się w jej oczy szukając tzw. „niemych pytań nigdy

nie wypowiedzianych”. Będzie studiował twarz, żeby zobaczyć: „znaki kostuchy”. A gdy staruszkę załadują do erki będzie jej towarzyszył w ostatniej drodze, robiąc wyrzuty nieczułem społeczeństwu. Tkance społecznej toczony przez raka znieczulicy. Oczywiście wszystko będzie zapisywał na karteczkę. I gdyby tylko mógł, gdyby tylko babcia przed śmiercią powiedziała jakieś słowo, ostatnie słowo, to natychmiast na wieczność utrwaliłby je podnosząc do rangi absolutu. Nawet gdyby miało to być zdanie: „Niech Kaziu weźmie pieniądze ze skarpety i sobie coś kupi”.

Sytuacje niecodzienne zdarzają się rzadko, ale ich poetyckie relacje istnieją w kulturze. Oto jedna z takich:

*Przewrócili ją na ulicy.  
Niech teraz nie próbują  
chować się w termometrze i pastylkach  
w koszulach, świeżych co rano, w miękkich kocach  
w ciepłych okładach, w różowym dzbanku z lodem  
niech nie udają rąk które zmieniają pościel  
wiążą tasiemki na karku, pomagają się podnieść  
niech przestaną nasytać na nią ciche dni  
i jasne wieczory  
nachodzić ją o świcie, budzić zapachem słońca  
jak pieczonego nocą chleba  
niech ktoś ich przepędzi zanim chyłkiem zdążą  
wsączyć siłę w nogi, czerwień w wargi  
aż ona sama wstanie, poprosi  
o buty i sukienkę*

**[przewrócili ją na ulicy]**

Czasami normalny człowiek musi odpocząć. Zwyczajnie po pracy spotkać się z innymi normalnymi ludźmi. Usiąść gdzieś w ogródku. Napić się piwa. Zamówić shoarmę z frytkami. Albo nie. Na shoarmę jest za gorąco. Latem lepiej zamówić rybę. Na przykład pstrąga. Czyli tak: jedno piwo. Duże. Do tego pstrąg z frytkami. Albo nie. Może jednak zostanie przy shoarmie. Ale ma być z wieprzowiny. Żadnych krów i kurczaków. Solidna świnia.

Tak robi normalny człowiek. Poecie daleko do normalności. Pozostając w reporterskiej, całodobowej służbie u bogów oraz muz natchnienia nie jest wolny od ziemskich słabości. Także by coś zjadł i się czegoś napił. Idzie tam gdzie inni ludzie – do knajpy. I znowu notuje.

Uwaga oto: Notatka służbowa poety z pobytu w knajpie numer 234, typu Sfinx:

*Butelki piwa z cząstkami cytryn  
Butelki piwa z cząstkami cytryn w szybkach  
po podłodze raz po raz szary mop  
chłopak za ladą rozkrawa bagietkę  
w kłębach tłustej pary  
to jest bar któremu miasto jednym uchem  
wlatuje wylatuje drugim  
ktoś się znów zatrasnął w ubikacji i kucharz  
dłubie w zamku tasakiem  
a gdy drzwi nareszcie ustępują wszyscy  
odrywają się od kart od zup i klaszczą  
to jest bar nawleczony na ulicę  
mop się płacze pod nogami nogi pod stołami  
wstąpiliśmy tu w południe coś przekąsić  
zostajemy do wieczora przeczekując burzę*

**[Butelki piwa z cząstkami cytryn]**

Uwagę zwraca fotograficzna precyzja opisu oraz detal obserwacyjny. Funkcja ruchu mopa, relacja z wyprawy do toalety – to już klasyka.

Różnice między normalnym człowiekiem a polskim poetą współczesnym zostały opracowane w oparciu o doświadczenia własne piszącego i tomiczek poetycki Krystyny Dąbrowskiej pt. *Biuro podróży* (wydany w ramach STUDIUM – Zielona Sowa)

Zastrzegam sobie prawo omyłki. Wszak analiza przeprowadzona została w oparciu o teksty poetki a nie poety. Kwestia: czy kobieta jest człowiekiem nie została jednoznacznie

rozstrzygnięta. Istnieje zatem możliwość, że kobieta należy do innego gatunku niż homo sapiens sapiens. Gdyby tak się okazało powyższa analiza straciłaby naukową ważność.

## Paweł Lekszycki, Wiersze przygodowe i dokumentalne

W zastępstwie redaktora Horczyczaka

Dzień dobry państwu, nazywam się Paweł Lekszycki i to dzisiaj ja, w zastępstwie za kolegę redakcyjnego – Marka Horczyczaka – przedstawię państwu prognozę pogody w najbliższych dniach. Wiem, że wybieracie się państwo na zasłużone urlopy. Zanim jednak wyjedziecie warto zapoznać się z tym, co przygotowała dla nas matka natura na najbliższe dni.

Jak państwo wiecie, mamy jesień. *śliwy, grusze, jabłonie. jesienią znów niższe.* Ale nie tylko. Oprócz niższych temperatur odczuwalnych, mamy okazje podziwiać unikalne zjawisko atmosferyczne. A mianowicie, jeżeli ktoś ma jabłonie albo inne drzewa owocowe, to może podziwiać jak o tej porze roku *do ręki się łasi sad owocowy.*(1) .

Temperatury na wschodzie spadną. W Lublinie do pięciu stopni w plusie a w Suwałkach wystąpią gruntowe przymrozki. Nawet do minus trzech. Nie zdziwmy się zatem, gdy po wyjściu rano z domu zobaczymy jak *mróz podszczypuje czarną skórę asfaltu.*(2) i dlatego *na zmrożonym naskórku asfaltowych chodników łuszczą się zeschnięte skrzepy zwierzęcego łajna* (3) W związku z tym *nocny nawrót objawów zimy niczym złośliwy nowotwór przypomina o sobie w rannym wyciu silników, falach chłodu atakujących od strony okien i ścian. ściśnięty placek miasteczka pękł. rozjątrzył się żółtą posoką światła* (4).

W innych częściach kraju słonecznie. Zwłaszcza na zachodzie. We Wrocławiu może się nawet zdarzyć, że *słońce przecieka przez paski żaluzji.*(5) albo też może być tak, że *światło pęka w żaluzjach* (6) Mili państwo, nie ma się jednak czego obawiać. Na takie przecieki pomaga krem do opalania z filtrem UV i nie przejmujemy się tym, że *światło węszy* (7) .

Najcieplej będzie jednak – jak zwykle – na osiedlach, tzw. wielkiej płycie, budowanych w latach 70. Tu będzie wręcz upalnie. Do tego stopnia, że nabrzmiąte *pęcherze bloków podchodzą żółcią żarówek* (8) . Kiedy zobaczycie państwo przez okno, że sąsiedni blok zaczyna puchnąć opuście mieszkanie i bez paniki udajcie się do pobliskiego przejścia podziemnego. Biuro Bezpieczeństwa Narodowego poinformowało, że najbezpieczniejsze z

takich przejść znajduje się w Katowicach. Oto komunikat rzecznika prasowego BBN-u, który pozwolę sobie teraz odczytać:

*Kiedy spuchną bloki należy udać się do przejścia podziemnego pod dworcem centralnym w katowicach, gdzie neonówki odbijały się w przejaskrawionych plamach światła na marmurowej posadzce. Czysta sytuacja, chociaż nic bardziej brudnego w zasięgu pola widzenia. porzucane paczki po papierosach, niedopałki i wysuszone puszki po piwie. tłuste plamy kałuż po stajałym śniegu. craig raine zapewne otwierał kolejną butelkę, zapewne nie mleka. kilku polskich poetów robiło to samo (9).*

Wracając do pogody. Gorąco i niebezpiecznie będzie też w innych częściach kraju. W szczególności na ulicy *floriańska*. w *spiekocie południa cienie maleją do plamek na butach. szczęki kamienic - niechętnie - szarpią w strzępy błogi obrus cienia. pot - jak słony gejzer soku po kiszonych warzywach - skleja nam włosy w strąki. do martwej skóry pustego portfela bolą nas kolorowe oazy przy rynku (10).*

Proszę państwa, proszę nie przysyłać emailem pytań o to, co znaczy „*martwa skóra pustego portfela*” i co to są te „*kolorowe oazy przy rynku*” i dlaczego one „*bolą*”. Jestem tu na zastępstwie a tekstu sam nie wymyśliłem tylko czytam z promptera. Za to mi płacą. W związku z tym proszę skargi i zażalenia kierować do redaktora Horczyczaka, a mnie – Pawła Lekszyckiego, poetę polskiego, proszę łaskawie w to nie mieszać.

Dziękuję państwu za uwagę i do zobaczenia w programie *Poeci są wśród nas*, który poprowadzę wspólnie z Joasią Liszowską, Kasią Cichopek oraz Krzyśkiem Ibiszem.

Dobranoc państwu.

---

(1) **Paweł Lekszycki**, *Wiersze przygodowe i dokumentalne*, Białystok 2001, **u wrót ogrodu. wygnanie**

(2) Tamże, **m. m. decyduje się napisać wiersz dla kierowców autobusów pod znamiennym tytułem zniechęcony zaglądam do szoferek kierowców\* . apokryf**

(3) Tamże, **enty wiersz przygodowy**

(4) Tamże, **zachwycam się. nic innego nie umiem**

- (5) Tamże, **sim city**
- (6) Tamże, **III. niedziela. sezon odstrzału zakochanych**
- (7) Tamże, **I. solfa miredo**
- (8) Tamże, **grzechotnik miejski**
- (9) Tamże, **naprzód bez celu**
- (10) Tamże, **wrigley spearmint**